



№ 392.

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 30 marca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:

Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Wojciech Cybulski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Ze świata muzycznego. — Z życia lekarzy (cztery drzeworyty). — Antoni Oleszczyński (dalszy ciąg). — Obrazy z życia i natury (z trzema drzeworytami). — Szkice z życia warszawskiego. — Szachy. — Rebus. — Korespondencye Tygodnika Ilustrowanego. — Cicha woda brzegi rwie, przysłowie dramatyczne). Dokończenie. — Korespondencya od redakcyi — Helena; powieść. (Dalszy ciąg).

Wojciech Cybulski.

Dnia 15 lutego t. r. zmarł w Wrocławiu Wojciech Cybulski, etatowy profesor literatury i języków słowiańskich przy tamecznej wszechnicy. Jestto jedyna etatowa katedra tej literatury w całych Niemczech. Stanowisko zresztą zasłużonego profesora było tém ważniejsze, że w obec obcego narodu nadawało mu charakter obrońcy oświaty plemion słowiańskich, w którym to charakterze widzimy go już jako docenta przy uniwersytecie w Berlinie. Tém boleśniej dotyka nas strata takiego męża, który, jak wysunięty naprzód posterunek, bronił mężnie swojej chorągwi.

Wojciech Cybulski urodził się dnia 10 kwietnia r. 1808 w Koninie pod Lwówkiem, w powiecie bukowskim. Przygotowawcze nauki pobierał w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Rodzice jego nie byli zamożni, mimo to z ostatnim wysiłkiem starali się dać mu należyte wykształcenie, które mogłoby z czasem stać się fundamentem jego przyszłości. Ś. p. Wojciech udał się w tym celu r. 1828 na uniwersytet do Berlina. Tam poświęcił się studjom filozofii, filologii i historii z całym zapalem zdrowego i silnego organizmu. W parę lat potem nastąpiła przerwa w jego studiach uniwersyteckich. Wyrzucony ze zwykłych kolei życia, przepędził wiele lat zdala od książek i katedr szkolnych. Skorzastał jednak ze swego położenia Cybulski. Wyuczył się języka rosyjskiego i zaznajomił z jego literaturą. Roku 1836 wrócił na uniwersytet berliński, aby studia swoje dalej prowadzić. We dwa lata później ogłosił dysertacyą „De bello civili Sullano,” za którą uzyskał stopień doktora filozofii. Pracę powyższą przypisał przyjacielowi swemu i ziomkowi dr. Marcinkowskiemu i głośnej sławie profesorowi Bökh.

Odtąd poświęcał się wyłącznie badaniu piśmiennictwa i języków słowiańskich. W tym celu odbył dwuletnią naukową podróż po wszystkich krajach słowiańskich. W Pradze, która wówczas z młodzieńczym zapalem budziła się ze snu kilkowiekowego, bawił rok jeden, kształcając się pod kierownictwem znanego starożytnika Szarfarka. Wciągał tam w swoje pierś z rozkoszą wdzięki mowy czeskiej. Następnie udał się do Wiednia, gdzie wiele korzystał na zażyłości z uczonym Kopitarem. Potem odwiedzał Kraków, Budę, Zagrzeb i Białogrod.

Tym sposobem stał się Cybulski nie tylko uczonym z książki. Wszedł on w stosunki z pierwszemi znakomitościami świata słowiańskiego, nie zatartszy w tych stosunkach swego swego znamienia. Języki słowiańskie studyował z żywego źródła.

Nietylko wtajemniczał się w umysłowe skarby plemion słowiańskich, ale zgłębiał także skarby ich życia, zwyczajów i obyczajów.

W ten sposób zdobywszy naukę i doświadczenie, mógł Cybulski z wszelką godnością zasiąść na katedrze, a uzbrojenie się takie było tém potrzebniejsze, że wśród obcego narodu potrzeba było wystąpić ze słowem o rzeczy dotąd bardzo lekceważonej.

Roku 1840 osiedlił się Cybulski stale w Berlinie, jako docent literatury i języków słowiańskich przy tamecznym uniwersytecie. Uczniowie chodzili tłumnie na jego pełne życia wykłady. Ziomkowie uwa-



WOJCIECH CYBULSKI. (Podług nadesłanej fotografii).

żali go za przyjaciela i szlachetnego doradcę, a nie jeden z ówczesnej młodzieży uczęszczającej na uniwersytet w Berlinie, chowa jeszcze dlań w sercu po dziś dzień niewygasłą wdzięczność za doznaną pomoc. Nawet dla przejeżdżających przez Berlin ziomków, występuje Cybulski w tym okresie czasu jako osobistość wyrazista. Każdy musiał o niego zawdziżyć, poradzić się i kilka chwil w jego towarzystwie przepędzić. Stanowisko to wyrobił sobie Cybulski znacnym swoim charakterem, równym humorem, wyrozumiałością, powagą wytrawnego zdania, a nader wszystko miłością ludzi, którym lubił poświęcać

swoje usługi, dlatego, że sprawiało mu to rzeczyswą przyjemność.

Nie zaniedbał w tym czasie i prac literackich. W „Roku“ wydawanym przez Moraczewskiego, widziemy ważną jego pracę; wystąpił bowiem ktoś z namiętną dyatrybą przeciw Mickiewiczowi i jego pismom, wychodząc z punktu pewnej doktryny socyalnej, którą zaaplikował do dzieła poetycznej fantazyi, jak Turcy aplikują swój koran, i nieodwołalnie potępił i dzieło i mistrza, mniemając że najazdem tym usunie z drogi niepokojącą go wyższość. Ujął się tej krzywdy Cybulski i z wielkim spokojem, z jasnością uzasadnionych rozumowań, dał świadectwo wytrawnego zdania, nieulegającego naciskowi sztucznie nastroszonej opinii. Zawsze ta praca jego mieć będzie znaczenie w historii wyobrażeń literackich owego czasu. Wiele jeszcze innych pism jego ukazywało się po różnych przeglądach, jak np. „O Ewangeliim reimskiej;“ „O najdawniejszych pomnikach języka czeskiego;“ „O runach słowiańskich.“ Wychodziły także jego rozprawy w języku niemieckim w Prutza „Literar-historisches Taschenbuch.“ Roku 1848 jeździł na zjazd słowiański do Pragi, a następnie obrany posłem, dwukrotnie zasiadł na sejmie w Berlinie.

Oprócz „Przeglądów piśmiennictwa słowiańskiego“ stale w „Roku“ umieszczanych, ważną jest również jego praca o „Dziadach“ Mickiewicza. Jest to krytyczny rozbiór zasadniczej idei tego poematu. Praca ta obszerna zamieszczoną była w Rocznikach Towarzystwa poznańskiego przyjaciół nauk. Z wielką trafnością i znajomością rzeczy okazuje autor, jak ten poemat nie powstał z zakreślonego naprzód planu, lecz tworzył się pod wpływem tych uczuć i wrażeń, jakie miały poeta. Również z bystrością głębokiego krytyka wyjaśnia Cybulski, jak ten poemat nosi w sobie spełnienie przełomu poezyi zewnętrznej na wewnętrzną, będące znamiem nowej epoki. Wyborną widzimy w tym artykule charakterystykę różnicy poezyi dawniej od Mickiewicowskiej.

R. 1860 wezwany został Cybulski do Wrocławia, jako profesor etatowy katedry literatury i języków słowiańskich. Uniwersytet zyskał w nim gorliwego pracownika, a uczniowie poznali wkrótce przyjaciela. Z zapalem słuchali jego zajmujących wykładów, a były nawet chwile, kiedy widzieli go zstępującego z katedry z oczami zwilżonemi od wzruszenia. Profesor, który z taką miłością swój przedmiot wykladał, nie rzucał prawdopodobnie drogich ziarn na ziemię nieurodzajną...

Równocześnie z przesiedleniem się swoim do Wrocławia, wszedł Cybulski w Warszawę w związku małżeńskie z panną Józefą Machczyńską, córką rady stanu Machczyńskiego i Ewy z Luboradzkiej,

a siostrą znaną autorki naszej, Antoniny Machczyńskiej.

Śmierć jego nastąpiła nagle i nieprzewidzianie. Silny organizm i czerstwe zdrowie obiecywały mu wiek daleko dłuższy. Dnia 15 lutego t. r. odbył prelekcję o ulubionym swoim przedmiocie, o ruinach słowiańskich. Wieczór spędził w domu, w gronie bliższych przyjaciół, obchodząc z wrodzoną sobie wesołością imieniny małej swojej córeczki. Około północy zawołał, że mu tchu braknie w pierśsiach, — za dwie godziny już nie żył.

Uczniowie uniwersytetu wrocławskiego ogłosili po pismach składkę publiczną, dla wystawienia swemu profesorowi pomnika na jego grobie.

Z.

Kronika tygodniowa.

Koncerta i znowu koncerta, i jeszcze koncerta! Jak długo to potrwa i kiedy się skończy, Bóg sam raczy wiedzieć. My jednak sądzimy, że chyba szynka i baba wielkanocna uciszą tę muzykalność, wokoło nas rozgwarzoną. Nie wiem czy porównanie nie wyda się trochę trywialnym czytelnikom, ale zawsze mnie się zdawało, że koncerta do widowisk teatralnych mają się jak ślédz do mięsa; jest to strawa przedewszystkiem i głównie postna. A wiadomo że nie z rozkoszy ludzie się do postu nakłaniają.

Więc i z koncertami ma się tak potrosze.

Dać koncert, rzecz to na pozór łatwa, ale puścić w świat bilety, zapełnić miejsca i zapewnić sobie jaki taki dochód z koncertu, w tym trudność cała. Ludzie pod tym względem mają wdech delikatny; przeczuwają oni już przez skórę bilet koncertowy, i cofają się przed tym różowym albo białym straszdem, jak diabeł przed święconą wodą. Więc podając się sprzedaży biletów na koncert, to poświęcenie nielada. Zwykle na piękne panie nasze wypada ciężki obowiązek rozdawania tych paletów karnych gościom, w najniewinniejszej myśli na herbatę przychodzącym. Więc też proszę się tylko przyjrzyć fizyognomiom, kiedy z kieszeni albo szkatułki wydobywa się znany dobrze pakiecik, zawinięty w różową bibułkę. Ucicha rozmowa najbardziej nawet ożywiona, twarze się przedłużają, oczy nabierają niepewnego jakiegoś wyrazu. Z piersi rozpaczliwe wydobywają się westchnienia, którym wtóruje skrzyp pugilaresów, przeczuwających rabunek.

Ale to chwila tylko, wkrótce bowiem wszystko wraca do porządku; człowiek bowiem prawdziwie światowy wprędce godzi się z myślą tego koniecznego podatku, którego uniknąć niepodobna. Więc ofiarowanie biletu przyjmuje się już z uśmiechem:

— Jakże wdzięczny jestem pani, żeś raczyła pamiętać o mnie! Rzeczywiście, cudny wybór programu; ani wątpić o tym że koncert będzie bardzo świetny, zwłaszcza kiedy pani raczyłaś go wziąć w swoją opiekę.

A biedne dwa ruble myślą sobie:

— O ileżby nam lepiej było u Stępkowskiego, gdzie tyle nie muzykalnych wprawdzie, ale smacznych rzeczy wygląda przez okno!...

— A czy będzie kto siedział przy sprzedaży programatów? to ważne pytanie, które zadaje sobie każdy z tych ludzi pieniężnie pokrzywdzonych.

Bo programata, to także nielada Rubikon koncertowy; moda sprzedaży ich niedawno dopiero weszła w użycie, a już zyskała sobie przerażający rozgłos.

Bo przy kupnie programatów niema ceny naznaczonej, daje się „co łaska,” a straszny to wyraz, kiedy kontrolę tej łaski prowadzą panie przyzwyczajone do królowania w salonach wielkiego świata. Niepodobna się wybiegać: biedny ofiarodawca znajduje się pod śledczym okiem dobroczynnej piękności, która z czarującym uśmiechem podaje mu zadrukowany świstek, straszniejszy od rachunku, od pozwu, od weksłu zaprotestowanego. Bo najbardziej uparte go przymysłowca można skłonić do poczekania; z woźnym sądowym, z komornikiem nawet można nadrobić w ten lub ów sposób, ale przed cudnym wyrazem tych oczów, trochę ironicznie się spoglądających, przed tym słodkim uśmiechem, który tak łatwo przemienić się może w minę niezadowolonia, człowiek radby się skryć pod ziemię i klnie

nowoczesną cywilizacją, która uposażyła nas w fotografie i telegrafy elektryczne, a pierścienka niewidzialności nie potrafiła odszukać jeszcze. I jak na nieszczęście wszystkie wejścia zamknięte, żadne fotele nie pomagają; trzeba koniecznie przejść pod ogniem tych baterij strzegących przyczółka mostu, prowadzącego do sali koncertowej. A jeżeli suknia jeszcze nie stanowi mnicha, zato ofiara za program wiele stanowi o zachowaniu światowca który z nią pośpiesza. Małe światowe stosunki na tyle lub tyle rubli ocenić wypada; ani podobieństwo ustrzedz się od tego. Wystawcie sobie więc, w jak dobrém u-sposobieniu większa część poszkodowanych wchodzi do sali koncertowej, jak im smakuje ta muzyka, za którą tak drogo zapłacić im przyszło! Każdy utwór odegrany lub odśpiewany, przypomina im przyjemność której się niestety pozbawić musieli, którą wydarte przed chwilą pieniądże mogli im zapewnić, a samo scherzo nawet elegijną przybięra barwę. Ale rzućmy zasłonę na te smutne obrazy, powtórzywszy tylko z Dydoną:

Non ignara mali, miseris succurrere disco,
szczęśliwi, jeżeli pod względem finansowych zasobów,
niezwykłym koncertowym gradem nadwierzonych,
nie przyjdzie nam powiedzieć z Eneaszem:

Apparent rari nantes in gurgite vasto.

* * *

Trzebaby się jednak trochę ułatwić z korespondencyami; nagromadziło ich się bowiem przez ten czas niemało, a natarczywie dopominają się światła dziennego.

Oto naprzykład co nam piszą z Dąbrowy:

„Od dwóch już miesięcy istnieje z upoważnienia władzy w Dąbrowie górniczej teatr amatorski, założony i utrzymywany staraniem młodzieży tamtejszej, a chociaż o zabawach tego rodzaju, zwłaszcza jeżeli cel dobroczynny bywa z nimi połączony, skwapliwie donoszą pisma peryodyczne, nie znalazłem jeszcze w nich wzmianki o dąbrowskim teatrze, który ze wszech miar zasługuje na wspomnienie, bo zyski pieniężne z przedstawień osiągnięte, stanowią mają stypendya dla mniej zamożnych synów urzędników górniczych.

Początkowo widowiska odbywały się w jednym z niezajętych mieszkań, lecz wkrótce takowe okazało się zaszczupłym; z funduszków więc zakładowych towarzystwa wyrestaurowano stale na ten cel dawne, dziś już nieużywalne huty cynkowe. Budynki teraźniejszy pomieścić może do trzystu osób, a mimo to często braknie biletów dla licznych zwyczaj na nie konkurentów, przyjęcie zaś bywa bardzo gorące. I nie dziwi się temu, bo to już wpływa z samej tradycyji miejscowości.

Najpiérwiej dawano przedstawienia co dwa tygodnie, teraz co tydzień, i nie brak nigdy widzów, a kasa towarzystwa wzmaga się tak dalece, że z zysków zaspokojo już wszystkie koszty budowy, dekoracyji i innych niezbędnych a licznych początkowo wydatków, obecnie zaś gromadzą się fundusze na kostiumy. Wkrótce zatem zaczną wpływać czysty grosz na ów cel dobroczynny, tak wielce pożyteczny.

* * *

Przez parę tygodni nie wspominaliśmy o prelekcjach publicznych na korzyść niezamożnych studentów Szkoły głównej, a jednak idą one ciągle według zapowiedzianego programu. Z załamaniem wyznać musimy, że zapal publiczności do tych odczytów ochłódł znacznie i że liczba zgromadzających się słuchaczy przecięciowo coraz okazuje się mniejszą.

Czemu to przypisać?

Oto może wyborowi samych przedmiotów do odczytów, które niezawsze ponętnymi są dla ogółu, a w części i sposobowi ich traktowania.

Po kilka razy wypowiedzieliśmy już nasz sposób zapatrywania się na tę kwestyę.

Jeżeli od miary wykształcenia jakiego nabyć zdamy, nie zależy otrzymanie stopnia naukowego, słowem jeżeli wykształcenia tego nie pobieramy urzędowym sposobem, to chcemy przynajmniej ażeby ono nie przebojem wdzierało się do nas, ażeby odłożywszy na bok toż naukową, przybrało zwykły strój towarzyski, żeby katedra przemieniła się w mównicę, a słowo nauki ubarwiło się powabami światowemi, które w niczem nie ujmując rzeczy-

wistęj wartości wykładu, przystępniejszym i ponętniejszym go czynią.

Wszakże tyle przedmiotów tak blisko nas obchodzących nastęrcza się prelegentom, a uprzystępnienie wykładu w niczem uwłaczać nie może powadze naukowej.

* * *

Pisma publiczne donoszą o ogłoszonym we Lwowie konkursie na najlepsze dzieło dramatyczne, z nagrodą 300 zł. reńskich, bez względu na to czy sztuka będzie komedią czy dramatem, czy wiérsem czy prozą napisana, czy wzięta z historyi, albo z obecnej chwili. O ile nam wiadomo, fundusz na nagrodę wyznaczony zebrany został staraniem pana Miłaszewskiego, dyrektora lwowskiego teatru, skutkiem czego zawarował on sobie piérwszeństwo w przedstawieniu premiowanej sztuki. Sztuka druga z kolei po premiowanej, otrzyma pochwałę i możność korzystania z praw autorskich od przedstawień na lwowskim teatrze, czego zapewne i premiowana sztuka nie będzie pozbawioną. Dowiadujemy się z tego ogłoszenia, że na lwowskim teatrze istnieją prawa autorskie, o czém wąpiliśmy dotychczas, wierząc w nieszczęśliwą gwiazdę autorów dramatycznych, którzy po większej części od dobrej woli dyrektorów teatrów zależą. Radzibyśmy wiedzieć jak wysokie są te prawa autorskie i ile przy pełném przedstawieniu wynieść mogą, bo to zdaje nam się daleko większą i skuteczniejszą zachętą dla piszących, aniżeli jakiebądź konkurs. Teatr w którym istnieją *naprawdę* prawa autorskie, nie potrzebuje żadnego konkursu, piszący bowiem ma dosyć nagrody i chwały, jeżeli publiczność z uznaniem przyjmie jego dzieło, a publiczność w takich razach najlepszym jest sędzią. Najznakomitsze nawet zgromadzenie krytyków może się łatwo pomylić na wartości scenicznej dzieła nieprzedstawionego jeszcze, i często się zdarza że sztuki uznane w czytaniu za wzorowe, upadają na scenie, i przeciwnie. Wprawdzie i sam sąd publiczności, wynikający częstokroć z chwilowego jej usposobienia, ulega różnym złym lub dobrym wpływom; ale rzeczą już jest zarządzających teatrem, żeby umiejętnym doborem dawanych przedstawień przyzwyczajając publiczność do poważniejszego zapatrywania się na sztukę, co zawsze na korzyść i przedsięwzięcia teatru i samych artystów wyjść musi. Nie potrzebujemy powtarzać tego, co już wielokrotnie było powiedziane; w teatrze bowiem najlepiej daje się zastosować to przysłowie, że jak sobie kto pościele tak się i wyśpi. Rozkołysawszy publiczność na farsach i bezsensownych dramatach, trudno ją potem nagiąć do wysłuchania rzeczy poważniejszych, a w takich razach nawet Szekspir, Szyller i Wiktor Hugo przed pustymi ławkami piękności swoje przez usta artystów wygłoszą. Żle zrozumiana spekulacya zwykle w takich razach na fałszywy tor naprowadza. Obecnie w wielu paryzkich teatrach dyrektorowie łamią sobie głowę nad wynalezieniem nowych figlów, któreby publiczność przywabić potrafiły. Już rozbicia okrętów, duchy na scenie i różne zastosowania mechaniki zrobiły swoje, a publiczność żąda ciągle nowych cudów. Nie tak bywało za dawnych dobrych czasów, za wielkich tryumfów francuzkiej sceny. Powtarzamy jednak, że jeżeli teatr lwowski rzeczywiście prawa autorskie u-dziela, to konkurs jest niepotrzebny. Niech tylko dyrektor zrobi przez gazety ogłoszenie, jaki procent od przedstawienia wyznacza i warunków przez siebie oznaczonych ściśle dotrzyma, (bo częste zawody nauczyły pod tym względem nieufności), a możemy ręczyć że będzie miał w czém wybierać.

Przegląd polityki zagranicznej.

29 marca.

Nigdy jeszcze porównanie polityki do kaleidoskopu nie okazało się tak trafnym, jak w obecnej chwili. Jak w kaleidoskopie za każdym potrząśnięciem różnobarwne kamyki srykują się w nowe kształty, tak w polityce codziennie nowe wypływają kombinacye i przymierza. Zaledwie minister Rouher zdołał uspokoić nieco obawy Francuzów, wystawiając im obraz Niemiec podzielonych na trzy grupy, a już nazajutrz dzienniki urzędowe niemieckie zawiadomiły Europę o zawarciu zaczepno-odpornych

Ze świata muzycznego.

traktatów Bawaryi, Badenu, Hesji i Wirtembergu z Prusami. Ta nieufność względem Francji, ten wzrost potęgi pruskiej nie może przyczynić się do uspokojenia opinii, głoszącej dziś jawnie, że Francja straciła dawne swe w Europie znaczenie. Naturalnym następstwem tej obawy jest powódź projektów i kombinacji tak sprzecznych z sobą i tak licznych, iż niepodobna ich ująć w szczupłe ramy naszego przeglądu. Najgodniejszą uwagi kombinacją przytacza angielska Pall-mall-gazette. Dziennik ten utrzymuje, że cesarz Napoleon, pragnąc przywrócić Francji dawny jej wpływ i znaczenie, powziął myśl ułożenia konfederacji zachodniej. Francja, Belgia, Szwajcarya i Holandya stanowiąc mają, według tego projektu, osobny związek, w którym wszystkie te mocarstwa poręczą sobie wzajemnie całość granic, w razie zaś wojny, występować będą wspólnie, pod naczelnictwem Francji. Czy projekt ten rzeczywiście istnieje, tego przesądzać dziś nie można, wyznaczyć jednakże należy, że urzeczywistnienie tej myśli istotnie podniosłoby powagę Francji, mogącej wtedy stawiać czoło zjednoczonym Niemcom, od Amsterdamu do Tyrolu. Tymczasem minister wojny wzmacnia siły zbrojne na wszystkich punktach, pomnaża kawalerję, gromadzi amunicję i organizuje piechotę. Jednakże wnoszą z tego nie wypada, że Francja znajduje się w przededniu wielkiej wojny; są to tylko środki ostrożności, w przewidzianiu burzy przedsięwzięte.

W Berlinie opinia publiczna żywo zajmuje się kwestyą Luksemburga, znaczna bowiem część Niemiec uważa tę prowincyę za niemiecką i obawia się aby nie wpadła w ręce francuzkie. Powodem tego zajęcia i wznieconych obaw jest wieść, jakoby Holandya weszła w układy z Francją o sprzedaż tego księstwa, po zarządzeniu w niem głosowania powszechnego. O stosunku Austrii do Prus, także najrozmaitsze krążą przypuszczenia, niepoparte wszakże dotąd urzędownie i niezasługujące na bezwarunkową wiarę. Pruskie pisma zapewniają, że p. Beust przeszedł w ostatnich czasach do obozu pruskiego i że nawet węgierscy mężowie stanu doradzają cesarzowi austryackiemu, aby wszedł w ściślejsze z Prusami przymierze. W każdym razie to jest pewnym, że stosunki między Austrią i Francją oziębły się nieco. Mówiono wiele o misji generała Fleury do Wiednia, ale Gazeta wiedeńska zaprzeczyła temu, oświadczając iż w sferach najwyższych nic o tém nie wiedzą.

W dniu 22 b. m. król włoski otworzył posiedzenia nowego parlamentu osobistą przemową, w której wykazał czém były Włochy, czém dziś zostały i jakie na nich ciąży obowiązki. Król włoski oświadczył, iż Włochy nie powinny wyczerpywać swych sił dla namiętności i współzawodnictwa (alluzya do kwestyi rzymskiej) lecz użyć wszystkich swych zasobów na ustalenie dobrego bytu i utrwalenia tak świetnego dzieła. Mowa przyjęta została oklaskami przez większość Włochów, zgadzających się istotnie na powyższe zasady. Italia z dnia 22 b. m. zapowiada cząstkową zmianę gabinetu włoskiego.

Według depesz ateńskich z dnia 16 marca, z wyjątkiem trzech miast, cała wyspa Kandyja znajduje się w ręku powstańców, których głównym punktem działania jest Sphakia. Zresztą w kwestyi wschodniej stagnacya chwilowa; jedna tylko Presse wiedeńska doniosła, że zbiorowy krok mocarstw do Porty nie udał się, z powodu odmowy Anglii, i że w skutek tego posłowie Rosji, Francji i Austrii prywatnie namawiać będą Portę do odstąpienia Grekom wyspy Kandyi.

Ostatnie depesze. Paryż 27 marca. Dziennik La France powiada: skoro toczyć się mają układy o księstwo luksemburskie, to pisma publiczne powinny się powstrzymać od wszelkich przedczesnych uwag, mogących szkodzić rządowi. To samo twierdzi Pays.

Drezno 27 marca. Urzędowy Drezd. Jour. donosi, że na zasadzie traktatu zawartego w d. 25 stycznia r. b. z Prusami, telegrafy saskie przejdą pod zarząd pruski.

Konstantynopol 26 marca. Gazeta La Turquie donosi, że pomimo zapewnien lorda Stanlej, żaden rząd europejski nie doradzał Turcyi odstąpienia Grekom Kandyi i że Porta ani jednej piędzi ziemi nie odstąpi.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

Po szale karnawałowym, nastąpiły chwile cichych rozmyślań i muzyki. Muzyka niezawsze jest cichą, ale zawsze nadaje się tam, gdzie nic jej nie zagłusza, gdzie może królować bez współzawodnictwa. Może dlatego właśnie karnawał jej nie na rękę, a chociaż ta córka niebios nie lęka się przegranej, przecież nie ufa nazbyt upodobaniom wielbicieli, których częstokroć, a może i zawsze, błyskotki karnawałowe zabrac jej mogą. Wielki post jest dla niej porą najdzielniejszego życia... zakończonego zwykle wielkotygodniowym oratorjum. Poważny to finał czterdziestodniowego dzieła, a dzięki mistrzom, wieńczący je zazwyczaj.

A jak się dzieło owo zaczyna?...

Jak nateraz, bardzo obiecująco. Estrady koncertowych sal dźwigają na swych deskach nieznanne Warszawianom jeszcze, lub niesłyszane dawno postaci. Ledwie przebrzmiały tony z pod palców Litolffa, a już pan Dulemba innemi je zastępuje. Skrzypce pana Friemana także głośno się upominają o należny panu swemu poklask, a jeżeli, wbrew czyjś podobno zasadzie, mamy mówić i o amatorach, musimy w pierwszym ich szeregu pomieścić panny Peschke i Krysińską. W około tych, mniej więcej nowych postaci, grupują się, jak zwykle, starsi i młodszy artyści naszego miasta. Ulubiency naszej publiczności, których ona, jak nateraz, rzadko w operach słyszy, płacą jej pocziwą daninę na licznych koncertach. Instytut muzyczny nie został też za innymi. Jak zwiastuna liczniejszych trofeów, wysłał on dzielnego szermierza w osobie p. Górskiego, a młody artysta energicznym i nieuczniowskim już smyczkiem, zdobywa silniejszą pozycyę dla kolegów i koleżanek.

W krótkim nader czasie, bo w przeciągu dni dziesięciu, mieliśmy cztery koncerty: na Przytulisko, pana Friemana, na Towarzystwo wsparcia artystów i pana Filleborna. Cztery koncerty!.. By o nich się rozpiszać obszerniej, ileżby miejsca i czasu na to potrzeba! Więc pozwólcie, czytelnicy, że wspomniemy tylko o rzeczach nowszych i ciekawszych. Cóżbyśmy bowiem nowego powiedzieli, mówiąc o pani Dowiakowskiej że jest wyborną śpiewaczką, o panu Kellerze że nic nie zepsuje, a wszystko umiejętnie podniesie i uszlachetni, ubarwi, ożywi?.. Sami oddawna wiécie, że pan Filleborn zachwyca dźwięcznym głosem i że nie żałuje piersi ani sił, gdzie idzie o lepszą z najhuczniejszą nawet instrumentacyą. Może mu macie to za złe?.. Poprawdnie, trzeba by o to winić Halevego, że w Żydówce swojej niewiele dba o zdrowie śpiewaka; ale niepodobna winić artysty, że gotów całą duszą oddać się sztuce?.. Pomimo to przecież, dając panu Fillebornowi serdeczny poklask za jego wystąpienie w roli Eleazara, radzimy mu aby się oszczędzał.

Kiedy już mówimy o Żydówce, godzi się dać najżyczliwszą radę pannie Graetz. Miła ta śpiewaczka, z każdym dniem w śpiewie postępująca, jako aktorka sprawia nieprzyjemne wrażenie. Brak gry i ruchu, jakieś dziwne skrępowanie wrodzonej nawet swobody, wszystko to razi nadzwyczaj. Łatwo przecież przyjąć do wniosku, że sceniczne otoczenie ma swoje warunki, o których zapominają się nie godzi. Pewna część publiczności przychodzi na opery nie dla muzyki nawet, i od tej niewolno śpiewakowi wymagać oklasku, gdy nie będzie aktorem. Jest to pewnik, wskazany przez doświadczenie, i nic go nie zwali.

Koncert na Przytulisko odbył się pod dyrekcją p. Gabryela Roźnieckiego. Znany ten kompozytor dał na wstępie swoje uverture z „Esterki.” Już podobno słyszeli Warszawianie tę kompozycyę i oddali jej zasłużone pochwały. My z obowiązku, potwierdzając zdanie dawniejsze co do tego utworu, dodamy, że uverture z Esterki, idąc w ślad za wzorami mistrzów, błędzi może jedynie zbytkiem spokoju z jakim jest napisana. Dowodzi to, wprawdzie wytrawności autora, ale pozbawia żywego kolorytu, a więc i zajęcia.

Panna Peschke grała „Krakowiaki“ Chopina i „Rapsodyę węgierską“ Liszta. Na wstępie uprzedzamy czytelnika, że panna Peschke nie jest amatorką, ale artystką. Dowiodła tego, grając w innym dniu koncert Beethovena, i przekonała nas, że niekoniecznie potrzeba fizycznej siły, by oży-

wić martwe znaki, z których wywołać prawdziwie piękno jest obowiązkiem artysty. Szczególniej w koncercie Beethovena panna Peschke zajaśniała prawdziwym blaskiem artyzmu.

Panna Krysińska, także z podobnych przyczyn nie amatorka, dowiodła, jak wyborna metoda śpiewu pokrywa drobne wady głosu. Powiadamy drobne, a może wynikłe z powodów przemijających. Arya z „Gazza ladra“ brzmiała z piersi śpiewaczki potęgą głosu i uczucia, a dwa mazurki Chopina zachwyciły lekkością i rzutkością pasażów. Panna Krysińska jest niezawodnie śpiewaczką sceniczną i bardzo nawet obeznaną z wymaganiami dramatycznego śpiewu. Może też przyjdzie chwila, że ze sceny da się nam słyszeć.

Z kolei wypadałoby mówić o panu Górskim, który odegrał trudny, ale prawdziwie skrzypcowy koncert Spohra. Artysta ten widocznie potrzebował tylko śmiałości, by być samym sobą. Do tych wyrazów: samym sobą, przywiązujemy szczególniejsze znaczenie. Być samym sobą w obec publiczności, jest to puścić wodze nieskrępowanej fantazyi, uczuciu, myśli. W koncercie Spohra dostrzegliśmy wiele miejsc, w których p. Górski powodował się natchnieniem chwili, i właśnie dlatego grał wybornie. Będzie to skrzypek poważny, nie goniący za efektami i bawidełkami zręczności. Już na pierwsze wystąpienia dał nam rzeczy nie blahe, trudne i głębokie, a wyszedł z nich zwycięsko. Nie uląkł się obojętności, jaka zwykle za takim idzie wyborem i nie poszedł za przykładem innych, którzy w lżejszych potyczkach wywalczyli sobie rozgłos.

Pan Dulemba kilkakrotnie już wystąpił w Warszawie, to biorąc udział w koncertach z celem dobroczynnym, to świadcząc usługę koleżeńską. Nie znaleźmy dotąd tego artysty, a z tego cośmy słyszeli z pod jego palców, wnosimy że może stanąć w pierwszym szeregu koncertowych fortepianistów. Charakterystykę jego gry odkładamy na później, w nadziei że pan Dulemba da własny koncert i wystąpi w nim samodzielnie.

Pan Frieman dał nam dwie własne kompozycye, przypominające utwory skrzypcowe Wieniawskiego. Jedną z nich był koncertowy polonez z orkiestrą, drugą mazurek z fortepianem. Utwory to ściśle koncertowe, w których myśl, efekt i instrumentacya idą na wyłączną korzyść koncertanta. Polonez szczególnie nosi to wyraźne piętno, a orkiestra towarzysząca mu, odgrywa rolę bardzo wprawdzie śmiałą, ale nie nazbyt świadomą swego powołania towarzyszczy. Pan Frieman zyskuje sobie u nas coraz powszechniejsze i zasłużone uznanie; szkoda tylko, że dotąd nie wystąpił z całą potęgą swoich artystycznych zasobów, które bezwzględnie ma nagromadzone. Chcemy mówić o rzeczach obszerniejszego zakresu. Wszak allegro z koncertu Rodego i romans Beethovena, jakkolwiek klasyczne, nie wykażą całej indywidualności artysty, a koncert Beriot'a jest utworem przeznaczonym dla salonów. Bardzo być może, iż dzielny nasz skrzypek chce nas stopniowo oślniewać zaletami swęj gry i da nam niezadługo koncert Mendelssohna, Beethovena, Vieuxtemps'a lub innych znakomitych kompozytorów. Czekamy, gdy trzeba, z cierpliwością.

Należałoby także wspomnieć o małych utworach do śpiewu panów Dresslera i Kratzerera, któreśmy słyszeli na koncercie pana Filleborna. Pan Dressler niebardzo szczęśliwie wyszedł z trudnego zadania; ale różnie się dzieje w sztuce i zrażać się tém nie godzi. Przed niedawnymi czasy, bo za bytności u nas ostatniej Bilsego, słyszeliśmy uverture p. Dresslera. Kompozycya ta miała zalety i wady młodości, ale zarazem cechy talentu, nieujętego jeszcze w karby, nie władającego teorią na korzyść objawów zewnętrznych ducha, ale mogącego się rozwinać i wznieść przy gorliwych studiach. Szczególniej nad instrumentacyą należałoby p. Dresslerowi popracować, bo w tej widoczne było jeszcze zamieszanie, które może zniknie w obec spokoju, ugruntowanego na umiejętności władania teorią. Bądź co bądź, od pana Dresslera za lat kilka wiele będzie można wymagać. Piosenka p. Kratzerera, odśpiewana przez pana Filleborna, nie jest złą ani nieudolną, ale powszednią. Niebrak tam melodyi, niebrak efektów obliczonych, ale to jakieś znane, lub może niezręczne. Nie przesadzajmy jednak!.. Talenta się wyrabiają, a talentu przecież p. Kratzerowi zaprzeczyć nie można. ☞

(Pomysł i rysunek Kostrzewskiego).



— Ach! doktorze, zlituj się! Od czasu jak mąż mój został radcą, nie mogę z nim wytrzymać.
— Jakto?...
— Po każdej sesji całą noc oka nie zmrzy a marudzi.
— Dlaczego? czy praca umysłowa tak go rozstraja?
— Nie panie. Ale... ponieważ za dnia podczas sesji się wysypia, więc w nocy spać już nie może.

ANTONI OLESZCZYŃSKI.

(Dalszy ciąg).

Troskliwy ojciec przemyślał bacznie o przyszłości ukochanego syna. Dowiedziawszy się że niedaleko Kaźmirza przebywa właśnie p. Stanisław Grabowski sekretarz rady stanu, u teścia swego p. Dembowskiego, powiódł mu wzory kaligraficzne z chrzabaszczem, w nadziei że piękne pismo utworzy synowi drogę do urzędu. Jakoż pomyślny skutek uwieńczył te na-



— Kochany doktorze, powiedz... jak mam ratować biédną moję żonę?
— Wiész że jestem twoim przyjacielem, więc usłuchaj moję rady. Ruszaj do Włodkowskiej i przywieź żonę suknię materyalną w podłużne pasy; bo inaczej migrena nie ustąpi.

dzieje. Chrzabaszcz zwrócił uwagę szczególną Grabowskiego, który widząc w nim dowód fantazyi, a ztąd dobrze tusząc o zdolnościach młodziana, zapewnił mu miejsce podsekretarza w radzie stanu, z pensją 1500 złp.

Z małych przyczyn ważne niekiedy wynikają następstwa: ów przypadkowy chrzabaszcz stał się pierwszym szczeblem, po którym Antoni Oleszczyński wystąpił z domowego cienia na widownię publiczną.

Niezadługo potem młodzian opuścił domowe ognisko. Rzewne było pożegnanie z rodzicami i młodszym rodzeństwem. Dobry syn upadł do nóg ojcu i matce, dziękując im za otrzymane dobrodziejstwa i prosząc aby mu pobłogosławili na nową życia drogę. Rodzice przeżegnali go krzyżem świętym, zalecając mu oszczędność, pobożność, wstrzeźliwość i pilną pracę, rodzeństwo uściśnęło brata, domownicy ze łzami wyprowadzili go za próg domu, i młodzian z sercem ściśnionem opuścił rodzicielski dach i ruszył w obce, nieznanemu mu strony.

Przybywszy do Warszawy, uczuł w głowie niepojęty zamęt, na widok wielkich kamie-

nic i kościołów, a gwar tłumów ulicznych, wśród których czuł się obcym, bardziej jeszcze zatrwodził osamotnione jego serce.

Nazajutrz po przyjeździe objął przyrzeczoną mu posadę w biurze Rady stanu księstwa warszawskiego, o czem zawiadomił rodziców krótkim listem, podpisując się dumnie: *Antoni urzędnik*.

Wielka była radość w Kaźmirzu w skutek odebranej wiadomości; rodzice bowiem niezupełnie dowierzali pańskim obietnicom. Uradowany ojciec, że syn ma już niezależne w świecie stanowisko, sprosił przy-

jaciół i sąsiadów na ucztę, przy której spełniono kielich, za zdrowie *urzędnika Rady stanu*.

Młody Antoni rozpoczął biurowe prace pod zwierzchnictwem regenta Adamczeskiego, a ten, zadowolony z jego pilności, polecił go szczególnej opiece dwóch sekretarzy: Brodowskiego i Chyliczkowskiego. Biuro rady stanu składało się po większej części z młodych paniczków, umieszczonych tam przez możną protekcyę. Odebrali oni wszyscy wychowanie staranne, czytali pilnie Woltera, Roussa i Racina, lecz pisali źle, a o służbie małe mieli wyobrażenia. Cały więc ciężar biurowej pracy spadał na kilku pilniejszych, którzy w urzędowaniu szukali dla siebie kariery. Do liczby tych należał Antoni Oleszczyński. Mimo pracy tak uciążliwej, młodzieniec, idąc za wolą rozważnego ojca, uczęszczał na kursa akademickie, poświęcając się szczególniej prawu i administracyi. Słuchał pilnie wykładu prawa księdza Szaniawskiego, administracyi Bandtkiego i Surowieckiego, a oprócz tego chodził jeszcze na kursa chemii i mineralogii.



— O, panie konsyliarzu! mój jednak taki delikatny, a przytém tak nerwowo!... Jak tylko mu książkę dać do ręki, natychmiast cisną ją na ziemię.

— Trzeba mu bez najmniejszej zwłoki zrobić operacyę. Nie mam wprawdzie ze sobą potrzebnego instrumentu, ale... tu naprzeciw o mieszka rymarz.

Zamiłowany w muzyce, uczył się grać na fleciku, a widząc jak bardzo taniec popłaca w świecie, począł brać lekcye od Żorża i wkrótce stał się zwołanym tancerzem. Trudno pojąć jakim sposobem wystarczało mu czasu na to wszystko, skoro od służby biurowej zostawało mu ledwie parę godzin zrana i tyleż wieczorem. Lecz zamiłowanie w pracy, połączone z niezmordowaną wytrwałością, cechowało zawsze charakter Antoniego Oleszczyńskiego.

Przy tylu różnorodnych talentach, gruntownem ukształceniu i wielkiej oglądzie zewnętrznej, mło-



— No cóż, jak tam twój pan? Pisał do mnie że niebezpiecznie chory. Jestem... Idź powiedz.

— A juści chory... ale poszedł na obiad proszony... i mówił żeby się pan doktor strzymał, to może nadejdzie.

dzian znalazł w świecie niemałe powodzenie i powszechną zjednął sobie życzliwość. Zapraszano go też chętnie na wieczory: w jednym domu grywał dueta, w drugim akompaniował na fortepianie do śpiewu, w innym rysował wzorki do haftowania, w innym znów wodził rej w kontredansie i mazurze. Wszystko to jednak nie przeszkadzało obowiązkowym pracom.



WYBŁYZEŻE MORSKIE.

Myśl że jest sierotą, pozbawionym opieki ojcowskiej w wieku tak młodym i niedoświadczonym, ciężko dotknęła serce szlachetnego młodziana. Czuł on z boleścią, że odtąd spada na niego cały ciężar odpowiedzialności za dalsze kroki życia, czuł także iż jako najstarszy z rodziny, winien opiekę matce i niedorosłemu rodzeństwu. Pospieszył więc coży-



ŁYŻWIARZE I ŁYŻWIARKI W PORCIE KRÓLEWIECKIM

Dobry ojciec, posłyszawszy o tryumfach syna, wyrażał mu w liście szczere zadowolenie, napominał jednak, aby dla chwilowych błyskotek nie zaniedbywał spraw ważniejszych; bo jakkolwiek (pisał mu) na wielkim świecie nie wypada młodemu być *niedźwiedziem*, nie trzeba jednak owęj gimnastyki tańca posuwać do ostateczności, aby nie wyniszczać sił na próżno i nie stać się zbyt lekkomyślnym.

Te ojcowskie przestrogi głęboko utkwily w sercu Antoniego, tém bardziej że były ostatnie. Wkrótce potem otrzymał smutną wiadomość, że dobry ojciec umarł, zostawivszy w sieroctwie żonę z sześciorgiem dzieciak.



SZLICHTADA.

wo do Kaźmirza, aby zapłakać na ojcowskim grobie i pocieszyć serce stroskanęj matki.

Za powrotem do stolicy, zastał tam zupełną odmianę. Było to w r. 1813, podczas pamiętnego odwrotu wojsk francuzkich. W Warszawie ustanowiono rząd najwyższy tymczasowy, pod prezydencją Lanskiego, Wawrzeckiego, księcia Lubeckiego i Nowosilcowa, a dawne biuro Rady stanu przeszło pod zarządowanie nowego rządu.

Młody Antoni zabrał się ochoczo do pracy. Wkrótce też, skutkiem gorliwości jego w służbie, powiększono mu pensją do 2,500 złotych. Widząc zapewniłony był własny, sprowadził do Warszawy

młodszy brata Seweryna, pomieścił go przy adwokacie, sam zaś dzielił się z nim garderobą i stołem.

Dzięki wytrwałej pracy, Antoni Oleszczyński w dwudziestym pierwszym roku życia wyrobił sobie stanowisko i był już na drodze, która go miała doprowadzić do znaczenia i dostatków. Dotąd nie marzył on bynajmniej o artystycznym zawodzie, a praca biurowa głównie go zajmowała. Nie była to jednak droga, jaką mu Bóg w przyszłości wyznaczył. W piersi młodziana tłała święta iskra, przysypała dotąd popiołem; lada podmuch zewnętrzny miał tę iskrę rozetlić w jasny płomień.

Nastąpiło to niebawem. Drobną na pozór okoliczność, nadała myślom młodzieńczym Antoniego nowy zupełnie kierunek i stała się dlań pobudką do nowego, odpowiedniejszego mu zawodu.

W tych czasach pojawiły się w Warszawie dzieła Niemcewicza, ozdobione muzyką i rycinami. Przyjęto je z niesłychanym poklaskiem.

Antoni Oleszczyński po kilkakroć je odczytał, nie opuszczając w nich żadnego nawet przypisku. Otóż więc w jednym z tych przypisków wyczytał skargę autora na przeciwności jakie napotkał w wydawnictwie, z powodu że ryciny musiały być wykonane za granicą, dla braku krajowych rytowników.

Te słowa głęboko utkwily w sercu młodego Oleszczyńskiego. „Gdybym ja też wyuczył się rytownictwa?” rzekł do siebie, i odtąd myśl ta na chwilę go nie opuszczała. Wprawdzie zimny rozsądek powściągał niekiedy te młodzieńcze rojenia. Czuł on dobrze, iż rozpoczynać nowy zupełnie zawód, w dwudziestym trzecim roku życia, mając przed sobą inną wytkniętą drogę, nie jest może bezpieczną ani roztropną rzeczą. Przeczuwał trudności, jakie pociąga za sobą nauka rysunku, o którym słabe zaledwie miał wyobrażenie. Wszystkie te jednak rozumowania ustąpiły przed młodzieńczym zapałem. Postanowił zostać artystą, czuł w sobie tę niezłomną odwagę, tę potężną wolę, która wszystko łamie i zwycięża. Ufny w przyszłość, umyślił sprzedać cokolwiek posiadał i rzucić się w obce kraje, dla wyuczenia się sztuki rytowniczej.

— Albo powrócę mistrzem, mówił w duchu, albo przepadnę gdzieś bez wieści.

W ciągu tych gorączkowych marzeń młodziana, nastąpiło w Warszawie ogłoszenie królestwa polskiego. Z powodu tej uroczystości najzdolniejsi urzędnicy wszystkich dekasteryj przedstawieni byli do nagród. Między innymi z biura najwyższej rady przedstawiony został Antoni Oleszczyński. Zapytywano każdego z nich prywatnie, coby życzył sobie otrzymać. Oleszczyński oświadczył, że pragnie tylko aby mu ułatwiono środki do wyuczenia się sztuki rytowniczej.

W skutek tego pozwolono mu jechać na naukę do Petersburga, z zapewnieniem wszelkich życia potrzeb i zaliczeniem pieniędzy na drogę.

Pożegnawszy rodzinę, opatrzony błogosławieństwem dobrej matki, puścił się młodzian w obce strony, ufny w przyszłość, albowiem czuł w piersi szczery zapał, a wiedział już z doświadczenia, czego dokonać można pracą i wytrwałością.

Droga do Petersburga wypadła na Wilno. Korzystając ze sposobności, Oleszczyński zwiędził po drodze historyczne pamiątki w Tykocinie i Grodnie. Pod Wilnem spotkała go szczególna przygoda, która miała wpłynąć na dalsze jego losy. Zajechał na popas do jakiejś ubogiej karczemki, ale napróżno domagał się posiłku: nie było w niej nic, oprócz wódki i siana. Jakby na domiar, widzi jak służdy wielkiego pana, który jednocześnie zajechał na popas, znoszą rozmaite ciasta i pieczywa do przyległej izdebki. Siedział młodzian na ławce zadumany, sam nie wiedząc co począć, kiedy nagle ukazał się we drzwiach marszałek podróznego magnata i z polecenia pańskiego wezwał go na wieczerzę. Tym podróznym był generał Pac, dziedzic rozległych dóbr w owych stronach. Generał, wypytawszy młodziana o cel jego podróży, począł mu przedstawiać wielkie trudności jakie go czekają, skoro w dwudziestym trzecim roku życia poświęca się sztuce, o której dotąd nie ma wyobrażenia.

— Radbym widzieć prace twoje, gdy ukończysz nauki, rzekł nakoniec z nieufnością, która ubodła serce młodziana, lecz nie ostudziła jego zapału.

W ciągu dalszej drogi prosił też Boga, aby mu pozwolił w godny sposób pomścić się na Pacu i w niwecz obrócić jego wróżby.

Po krótkim spoczynku w Wilnie i obejrzeniu historycznych pamiątek tego starożytnego grodu, młodzian podążył na miejsce przeznaczenia. Pod samym Petersburgiem, w Gacynie, gdy oczekując koni siedział w izbie pocztowej smutny i zadumany, spotkała go nowa przygoda, w której dostrzegł wyraźny palec Opatrzności.

Aby rozerwać myśl udręczoną, wydobył z kieszeni flecik i wygrywał na nim kantatę z Przerwanej ofiary. Ledwie że skończył, wchodzi do sali jakiś pan: był to marszałek Rupejko, który opuszczał na pewien czas Petersburg. Dowiedziawszy się o celu podróży młodego człowieka, marszałek ofiarował mu dom swój, prosząc aby się rozgościł i był w nim jak u siebie, dopóki się nie obznajmi z nowym miejscem i nie rozpocznie nauk akademickich. Plenipotent Rupejki, stosownie do polecenia pana swego, przyjął młodziana ze szczerą gościnnością i przez parę tygodni zatrzymał go u siebie.

Młody Oleszczyński, poznawszy dokładnie okoliczności miasta, przeniósł się na mieszkanie do akademii. Wszyscy uczniowie w liczbie trzechset zostawali tam na koszcie rządowym. Klas w akademii było cztery, a każda wymagała trzechletniego kursu; uczone tam bowiem nie samych tylko rysunków i sztuk pięknych, lecz zarazem nauk i języków, potrzebnych każdemu artyście.

Początki rysunku szły niesłychanie trudno, ręka bowiem niewprawna do władania ołówkiem, ciężka była już i zastała; upokarzała też dorosłego młodziana praca w gronie dziesięcioletnich dzieci, bieglejszych nierównie od niego. W trzecim dopiero miesiącu głowa narysowana jego ręką wystawiona była na egzamin miesięczny i otrzymała 30ty z rzędu numer. Zniechęcony, gotów był już zaniechać dalszej pracy. Stały mu w myśli, jakby złowrogie widma, rozsądne uwagi zwierzchników i przyjaciół, aby się nie porywał na sztukę, której nie będzie mógł podoleć. Wspomniał przepowiednie Paca, i smutek przynębił jego serce, odbierając mu wiarę w przyszłość. W chwili takiego upadku przybył do ministra Sobolewskiego i wyznał mu z całą pokorą, że zwątpił zupełnie o własnych zdolnościach i radby porzucić zawód, do którego Bóg zbyt późno go powołał.

Życzliwe uwagi ministra powstrzymały krok tak niebacznego. Młodzian zawstydzony własnego zwątpienia i wziął się do pracy z nową gorliwością; jakoż wkrótce, przełamawszy pierwsze lody, coraz śmielej szedł naprzód, pewien już że dojdzie upragnionego celu.

Postępy jego zwróciły uwagę profesorów. Wkrótce też, na przedstawienie szkolnej zwierzchności, powiększono mu roczną pensją do 2000 złotych. Nastąpiło to właśnie w chwili, gdy odebrał od matki list z doniesieniem o różnych kłeskach gospodarczych i znacznym uszczupieniu chudoby. Obok smutku jakim go ta wieść przejęła, uczuł w sercu prawdziwą pociechę, na myśl że może być podporą dobrej matce i wywdzięczyć się za podjęte około niego starania. Przeznaczył też na jej korzyść połowę pensji, którą jej odtąd do rąk wypłacano.

Oddany wyłącznie pracy, młodzian unikał wszelkich towarzystw, pośród których czuł się zupełnie obcym. Skrzypce, flecik, gitara i śpiew były mu jedyną zabawą w domowym osamotnieniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OBRAZY Z ŻYCIA I NATURY,

skreślone przez

Wincentego Pola,

z rysunkami

Juliusza Kossaka.

Systematyczne opisy krajin pod względem natury, są niejako anatomicznymi preparatami samejże natury. Ścisłość nauki wymaga wyłączności, to jest tego, aby zapomnieć o wszelkich innych względach, kiedy się kraj pod pewnym danym opisuje względem. Ztąd też są geologiczne i geognostyczne opisy ziemi i całych części świata; orograficzne, dające ich kształt i powierzchnię; hydrograficzne, dające wodną sieć kraju; klimatyczne, wyświecające napowietrzne stosunki jego, ze względem na położenie na globie i do krajin sąsiednich. Dalej idą opisy roślinności kraju i jego dzielnic, dalej jeszcze opisy

zwierzęcego świata i zoologicznych granic, a w końcu, w najwyższej grupie organizmów swobodnych, idą opisy etnograficzne krajin, które po ziemi i klimacie są pierwszym pokładem do dziejów.

Każdy tedy kraj można opisać pod wszystkimi temi względami, i owszem dokładny opis natury pewnego kraju musi niejako z obowiązku wyświecać wszystkie te względy i stosunki. Ztąd powstają niejako anatomiczne preparaty, odpowiadające ścisłości nauki i potrzebie wyłącznego zapatrywania się z pewnego stanowiska na przedmiot, który tylko w ten sposób może być zbadany do gruntu.

Wszystkie wszakże te specjalne opisy nie dają żywego oddechu natury, bo niema kraju ani części świata, któraby była wyłącznie geologiczną, orograficzną, hydrograficzną i t. d. W naturze nie są te światy oderwane od siebie, ale stykają się z sobą, uzupełniają się nawzajem, przenikają się jaknajściślej w czynnych i biernych potęgach i tworzą zjawiska powszechnego życia.

Tu wszystko ożywione jest ruchem, oddechem, barwami i głosami natury. Ztąd poszło tedy, że i w powszechnej, fizycznej i porównawczej geografii, a mianowicie w dzisiejszym postępie tej umiejętności, muszą pewne opisy odpowiadać temu zbiorowemu życiu zjawisk natury.

Są to „*Widoki natury*,” od Humboldta i po nim tak nazwane, które po systematycznym rozpatrzeniu krajin pod względem pojedynczych nauk przyrodniczych, dają niejako syntetyczne poglądy natury.

Najwyższą bowiem syntezą życia jest rzeczywisty oddech natury, tej syntezy musi tedy w umiejętności odpowiadać osobny rodzaj opisów, które charakteryzują odrębną fizyognomią kraju, i po analizie naukowej, jest ta synteza duchową niejako potrzebą, bo w niej zbiera się to w życiu całe, co umiejętność dla naukowego rozpoznania szczegółowo oddzielić musiała od siebie.

Widok natury, z całym jej żywym oddechem — to prawdziwa synteza żywota: wszystko tu uderza współcześnie, a jeżeli graficzna metoda okazała się najwłaściwszą dla nauk przyrodniczych, ilustracje artystyczne najwłaściwszym będą organem dla poglądów i widoków natury.

Zachodzi tu niemała trudność zgody pomiędzy samym widokiem a opisem. Opis rozwija się stopniowo w czasie — obraz uderza współcześnie i od razu w przestrzeni. Ztąd dopełnia się widok opisem, a opis widokiem, jeżeli opisujący nie więcej szczegółów obejmuje, jak naraz widzieć zdoła w naturze, artysta zaś to tylko kręśli, co objąć może dokładnie na jeden rzut oka, ze względem na przedmioty pierwszego, drugiego, trzeciego planu i perspektywy powietrznej.

Temi kilkoma uwagami uznałem za potrzebne poprzedzić te *Obrazy z życia i natury*, w których dają opisy odrębnej fizygnomii różnych okolic mniej lub więcej znanych, ale w literaturze niedostatecznie jeszcze wyświeconych aż po te czasy.

Każdy z następnych obrazów, jest obrazem miejscowym, zdjętym z natury; a że niezawsze robimy podróże w celach wyłącznie naukowych, ztąd trzeba się czasem zapytywać myśliwych, pasterzy, flisów i rolników o tajemnice miejscowej natury, zwłaszcza kiedy chodzi o żywy jej oddech, o schwytnie jej głosów i widoków w przelotnej tłumnych zjawisk powodzi.

I.

Na lodach.

Powietrza pragnie człek gdy zagorzeje
Czarami dziejów i boleścią własną,
I bardzo grzeje, kiedy serce grzeje.
A niebo świeci w duszy gwiazdą jasną,
To widok tylko natury nas kołi,
Lecz się groźno, czy się wdzięcznie stroi
Ona nie umie tylko serca zdradzić
I przy niej można powoli odezwać ...

Ponure są widoki wybrzeży Bałtyckiego morza, a przynajmniej takie wrażenie robiły na mnie, zanim się oswoiłem z niemi, zanim odrębność ich pojąłem i dopatrzeć zdołałem tych wdzięków, z których natura nigdzie nie jest obraną.

Wrażenia natury, czy one są miłe, czy niemiłe, czy obojętne w końcu, trzeba przyjmować cierpliwie.

Zrazu nie rozumiemy głosów natury w okolicy obcej, jedno staje się dla nas niezrozumiałe, coś

drugiego wydaje nam się przypadkowe, na coś innego jeszcze, co jest głównym, nie zważamy wcale. Jest to jakoby ruch twarzy człowieka nieznanego narodu, nie rozumiemy jego mowy, nie znamy jego myśli, więc nie pojmujemy ruchów jego twarzy.

Szczególniej okolice, które nas powabem uderzających wdziałek nie zajmą odrazu, mają to do siebie, że się w nie wpatrzeć potrzeba i ożyć, ażeby je poznać, pojąć i ocenić. Jest to zupełnie coś podobnego do niewiasty harmonijnych uczuć, która nas nie wdziękami ciała, ale duszy pociąga ku sobie. Ztąd pochodzi tak wielkie przywiązanie synów północy do ziemi rodzinnej, bo się rozpatrzyli w cichym uroku miejscowej natury, bo tak zrosli z jej oddechem, że już bez niego dla nich życia niema.

Ponure, jak mówię, wydały mi się widoki wybrzeży morza Bałtyckiego, chociaż i pora roku wpływała może na to usposobienie, bo spędziłem całą jesień i zimę całą, patrząc codziennie na to bursztynne morze, którego widoki nie elektryzowały mnie zupełnie, choć od bursztynu bałtyckiego wzięła elektryczność swą nazwę jeszcze w starożytnym świecie.

Płytkie i piaszczyste są wybrzeża morza Bałtyckiego. Mierzeja która Fryzką i Kurońską zatokę oddziela od morza, jest pasmem nagich, piaszczystych pagórków i nieustalonych zasp, które płytkimi ławami i odmiałami spadają do morza. Wyjątkowo tylko przybiera to pasmo więcej malownicze linie, wyjątkowo tylko porasta sosnowymi lasami lub dębina, jak naprzykład w okolicy kąpiel morskich Warnicken. Te zasy ruchomego piasku są często przetkane wielkimi bryłami skandynawskiego granitu; są to luźne, błędne odłamy, które tu i owdzie z wód, sterczą jak małe wyspy i na których się fale morskie łamią i pienią, kiedy wiatr wieje z północy. Pomiedzy temi zaspami ruchomego piasku, będącymi odpłuczyskiem morskiem wielkich historycznych burz, leżą małe jeziora lub podłużne bagna, które w drobne strugi przechodzą, tworząc na swém ujściu znowu płytkie przymorskie jeziora.

Brak roślinności uderza tu widocznie: bagna porastają tylko kępami chudego skrzypiu, jeziora tylko po brzegach lepiechem (tatarakiem) morskim.

Wody są czyste i przejrzyste, ale rybki tylko niewielkie migają czasami gromadnie, kiedy powierzchnie jeziora morska muśnie rybitwa. Skrzeku żab nie słyhać, i na całym piaszczystym pasmie wyżyn niema już żab; tak też daleko osiadają wyżynę rybacy morscy oddzielnego rodu i pochodzenia, skandynawskiego obyczaju, jak daleko żaby nie słyhać. Chaty ich, budowane z kamieni i potrzaskanych statków morskich, wrastają w zasy piaszczyste, a kilka łodzi rybackich przypiętych u brzegu, kilka sieci rozpiętych przed chatą, kilka tyk wielkich i wioseł w piasek wbitych, oto cały statek nadmorskiego rybaka i jego rodziny.

Nieraz całemi godzinami przejeżdżaliśmy się konno po tém odchodzisku morskiem; nieraz po pół mili wjeżdżaliśmy w morze, lub przerzynałymi pomniejsze zatoki, a woda nie sięgała koniom wyżej pęcin, zwłaszcza kiedy morze było spokojne.

Gdy wiatr wiał od lądu, miało morze niemyl, żółtawy pozór; gdy wiatr wiał z północy, rosły fale z każdą chwilą wyżej i były szare, a pod wieczór straszno czarne, łamiąc się z gwałtownym hukiem na bryłach granitu. Wrzask mowy przerywał tylko czasem ten jednostajny łoskot, który z nocą wznosić się zdawał, w miarę jak się wrzawa uciszała dokoła na lądzie, przy chatach rybackich i nadbrzeżnym zamku.

Morzu Bałtyickiemu brak oświetlenia, i koloryt jego jest odbiciem ołowianego północnego nieba, które już od początku października opuszcza się na nie mgłą skandynawską i uderza burzami północnego biegunu.

W morzu Bałtyckim, dlatego że ku północy na nie patrzymy, nie odbija się ani słońce, ani księżyc i dopiero z łodzi je widzieć trzeba, albo z rybackiego przylądka, który daleko w morze wybiega, aby się ożywiła jego powierzchnia i zagrała w świetle; chociaż już tu powiedzieć muszę, iż oświetlenie nocne harmonizuje więcej z chłodnymi widokami mglistej północy, niż oświetlenie słoneczne, przy którym nagość jałowych wybrzeży zawsze uderza niemilo.

Zamek M....., który zamieszkiwaliśmy, był w stylu Ludwika XIV postawiony, i od owych cza-

sów nie przybył tu ani jeden sprzęt i nie ruszył się żaden z miejsca. Portrety, obrazy, rzeźbione i złoczone boazerie, obicia, marmurowe stoliki i symetrycznie ustawione meble, wszystko nosiło charakterystyczną cechę swojego czasu. Porcelanowe figurki salonowych pasterzy i rybaków stały po marmurowych kominkach rozstawione, a szyldkretowe zegary przypominały odgłosem swych dzwonek czasu które dawno przeszły. Wielki taras ciosowy, w wazony kamienne i w posągi ubrany, wznosił się imponująco od strony ogrodu. Z niego spuszczały się schody ku północy, na wschód i na zachód do ogrodu, który w kilku tarasach opadał ku północy i kończył się widokiem wielkiej sadzawki, a właściwie naturalnego jeziora. Rabaty i arabskie poniżej tarasu były obsadzone szpalerkami z karłowatego i z wielkiego bukszpanu, a po obu stronach ogrodu ciągnęły się strzyżone szpalery cisowe, bardzo starannie utrzymane, prowadzące do małych labiryntów i cienistych zacisznych altanek, do grot sztucznych i łóż otwierających widok rozległy na okolicę, lub na wiecznie szumiące morze.

Z pierwszego piętra pawilonu odsłaniało się zwierciadło morza już w całej okazałości, a w oddaleniu znacznym, bo brzegi morza były płytkie, przesuwaly się niekiedy żagle rybackich łodzi i małych statków kupieckich, prowadzących pobrzną żeglugę od jednego małego portu do drugiego.

Całe urządzenie zamku i ogrodu było tak typowe, iż wywoływało w nas mnóstwo wspomnień młodości; bo któż się nie spotkał z takim zamkiem i ogrodem u nas?

Tylko to sąsiedztwo morza tak blizkie było dla nas nową rzeczą. To też najmniej dwa razy dziennie wyjeżdżaliśmy konno, nie zważając nawet na to, jaka była pogoda, bo w każdej porze roku i dnia jest morze coraz inne i zawsze można w niem coś nowego upatrzeć. Każdemu jednak radzę, aby nie patrzył długo na morze, bo z uczuciem i z myślą nie można znieść tego widoku nadługo; umysł tępieje, jednostajnym biegiem i hukiem lub szumem fali ogłuszony i otumaniony, i niemiło to wyznać, ale człowiek głupieje nareszcie, patrząc długo w morze bez myśli. Jakoż maluje się ta bezmyślność w fizyognomiach rybaków i mieszkańców nadmorskich, którzy mają zazwyczaj tępe i ponure rysy, przynajmniej tu na północy.

W zamku tym mieszkając, trzeba się było wszędzie spotkać z widokiem morza. Za piaszczystymi pagórkami wełniły się srebrne lub czarne fale. Na ścianach przedstawiały obrazy holenderskie widoki morskie. Po serwantkach piętrzyły się piramidy konch morskich indyjskich. W wielkiej portretowej sali wisiał u sufitu mały okręt trzymasztowy, misternie i ozdobnie wyrobiony aż do najdrobniejszych szczegółów, wyobrażający model prawdziwego okrętu. Kiedyśmy, wróciwszy z przejażdżki, zaśiedli wieczorem przy kominku u ogniska, to obyczajem marynarzy piliśmy czerwone korzenne grzane wino i paliliśmy knaster z lulek holenderskich, a jednostajny łoskot fal morza, zwłaszcza gdy było wzburzone, dolatywał nas z góry kominem, jak gdyby o same ściany zamku obijały się fale, jak gdybyśmy płynęli okrętem....

Z listopadem ustaje żegluga na Bałtyku dla powiększych statków, ale rybacy nadbrzeżni biją się z temi falami i burzami, póki się brzegi morskie nie okryją lodem, bo właśnie w tym czasie jest połów ryb najlepszy i ryba trzyma się długo żywa i świeża.

Po wielkiej trzydniowej burzy, która już pod koniec listopada przypadła, przesunawszy się od Alp skandynawskich ku Pomorzu żmujdzkiemu, zateśkniliśmy za przejażdżką. Burza była tak wielka, że okna zamkowe całą noc dzwoniły i żeśmy większą część każdej nocy przechodzili lub przesiadeli przy kominku, czytając Laarę Bajrona, który także błądził po pustym zamku i po ciemnych drogach życia.

Osobliwym był widok morza, gdyśmy je po tej burzy ujrzeli: w powietrzu zupełna cisza, a krótkie i wysokie fale szalały, jak gdyby je orkan poruszał do gruntu. Zdało się że do głębi wzruszony żywioł ukołysać się nie może, i cała powierzchnia morza przedstawiała jedną wielką kipieli, w której się fale ścierały z sobą, pozornie nie ruszając z miejsca.

Przepyszny był to widok, a szczególniej uderzał ów kontrast ciszy powietrznej do gwałtownie wzu-

rzanego żywiołu, który samodzielnie szalał, jak gdyby dno morskie wrzało.

Gdy się morze po tej burzy ukołysało, poczęły fale nieść strysz (drobną krę) z sobą, i już znaczne sztuki lodu pędził wiatr ku brzegom. Mróz podniósł się jednej nocy do piętnastu stopni i wzrósł w przeciągu trzech dni do dwudziestu kilku, a całe brzegi morskie, jak daleko oko tylko sięgło, okryły się jednostajną szybą lodu, a tém samém zmienił się cały widok okolicy, dla której szumu fal zabrakło.

Rankiem wszedł do nas dzierzawca tego majątku i powiada wesoło:

— Ja radzę, jedźcie panowie do Królewca. Morze okryło się lodem, lód stanął równo, to nasz najpiękniejszy czas. W Królewcu rozpoczną się szlichtady, będzie co widzieć i warto żebyście to panowie zobaczyli. Siostrzenica moja przyjechała z Królewca i mówi że się wielka gotuje szlichtada, którą uniwersytecka młodzież wyprawi dla miasta. Tacy goście jak panowie będą tam pożądanymi i zabawią się dobrze.

Spojrzelśmy w okna. Jak zmrożona oaza leżał ogród szpalerowy przed nami; strzyżone cisy były białym szronem owiane, jezioro błyszczało szybą gładkiego lodu; dalej świeciły białością niezwykłą brzegi morskie, lodem pokryte; cały widok dziwnie mroźny i zlodowaciały przedstawiał świat.

Spojrzelśmy po pokoju. W kominku spopieliało ognisko i zimny wiatr dął z komina, a Laara Bajrona leżał jeszcze z nocy przed kominkiem rozłożony na stole.

W istocie, zateśkniliśmy za ludźmi, i po trzech godzinach, siadłszy na koń, byliśmy w Królewcu.

W Gdańskiej piwnicy zastaliśmy przy marynarckim śniadaniu cały komitet urządzający szlichtadę i odrazu, jako goście zaproszeni, byliśmy świadkami jego narady.

Gdyśmy po śniadaniu obejrżeli się w porcie, znaleźliśmy fizyognomią jego zupełnie odmienioną. Przy samym brzegu spały już okręty snem zimowym zamrożone, bez flag i żagli, a smutno spoglądali majtkowie z pokładów, skazani przebyć zimę na okręcie bez ruchu.

Pozwierciadło portu nie szybowały łodzie włóczków ni rybaków, przybywających na targ rybny z świętym połowem codziennie, ale natomiast przesunęło się tysiące na łyżwach dzieci i dorosłych, kawalerów, a nawet i dam, krótko, po kolana prawie, ze szwedzka ubranych, z ozdobnie osznurowanymi łyżwami.

Dziwna rzecz: w czasie ciepłej pory nie widziałem tu na ulicach kolorów żywych; teraz na lodzie uderzyła nas pstra mieszanina nietylko żywych, ale nawet jaskrawych kolorów. Bogdaj szalik, bogdaj przepaska, czapeczka lub stroik musiał uderzać żywością kolorytu, i przyznać trzeba że przy ruchu na łyżwach i na lodzie dziwnie nam się to pięknie wydało.

Cała przestrzeń środkowa portu była zasnuta leżącymi na łyżwach postaciami. Tu tańczono kadryle, tam zatoczyli mężczyźni śmiały karuzel, małe chłopięta posuwały się brzegiem, a pięknie ze szwedzka ustrojonym damom, które zazwyczaj po dwie, trzymając końce szalu, robiły kurs wzdłuż bulwaru, ustępowało wszystko z uszanowaniem z drogi. Przesuwały się także, pędzone z tyłu przez wprawnych łyżwiarzy, i małe saneczki, na których siedziały damy w kosztowne futra strojne, z zarękawkiem albo szpicrutą w ręku. Kto nie na łyżwach, temu nie wolno stanąć na lodzie, bo śród tych junaków, śmiałych harców i posuwistych płasów po lodzie, nie miałyby co robić ten co nie na łyżwach. Zato też były wszystkie pokłady okrętów i brzegi portu widziami okryte, a kiedy się ze szwedzka strojne przesunęły damy, witały je huczne oklaski i okrzyki w przelocie.

Tak się umieją bawić na północy. Lecz muszę tu zrobić uwagę, że się zima tam zwykle mrozem a nie śniegiem poczyna, że zaraz pierwsze mrozy bywają bardzo mocne; ztąd staje lód równo, a że się nie zaraz śniegiem pokrywa, można użyć pohulanki na łyżwach i sanny po lodzie.

Tylko ten co przepatrywał stare szychy kolorowane z czasów Ludwika XIV i najbliższych po nim, może mieć wyobrażenie o takiej szlichtadzie, do której zwykle tylko należy dobór towarzystwa wyższych stanów i najmniejszych obywateli. Zduje

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.



Pierwszy dzień wiosny w Warszawie.

się że nadbałtyckie portowe miasta chcą tu z całym wystąpić przepychem, z całym zapasem gustu i zamożności.

Najprzepyszniejsze angielskie, holsztyńskie i meklemburgskie konie, strojne w pióra, w drogie chomaty, tygrysie i lamparcie skóry, obwieszzone dzwonekami i kutasami, idą w jednokonnych sankach, w których mityczny przepych i gust przypomina jakieś bardzo odległe i świetne czasy.

Każdy kawaler sam powozi damę, która tuż za nim siedzi. Sanki te mają najróżniejsze kształty: udają potwory morskie, łabędzie i orły, ptaki siedzące na łupie i w locie z rozpostartymi skrzydłami, olbrzymie lby jelenie i łosie rogami, gdzie rogi miasto kopanic służą, a w głowie są siedzenia wpuszczone, wybite aksamitem i kosztownymi futrami.

Cóż mówić o stroju mężczyzn, o tych ozdobnych futerkach i delijkach zarzuconych na jedno ramię, coż mówić o wytworności toalet damskich, które w futrach są niby otulone, a rzeczywistość jak na bal ubrane!

Widzieć to wszystko potrzeba albo w starych sztychach, albo w żywych postaciach na miejscu.

Wystrzał z działa, który się rozległ na miasto z baterji portowej, dał hasło do rozpoczęcia szlichtady.

Pary były już ułożone i każde saneczki czekały już przed bramą bogini serca, kiedy się rozległ pierwszy sygnał z portu. Trzeba przyznać że panie nie dały czekać na siebie; każda stała równo z wystrzałem działowym w bramie, z zapalonem cygarem w ręku, udając że je pali, skoczyła w sanie, a odstępując cygareto swemu towarzyszkowi, jak zwyczaj każe, rozglądała się po oknach i balkonach, do których się mnóstwo ciekawych cisnęło twarzy, za-

zdroszczających szczęśliwej takiego rycerza, a rycerzowi takiej królowej i takiej chwili.

Drugi wystrzał z działa rozległ się, gdyśmy już byli na lodzie, a za trzecim sygnałem posunęły pierwsze sanie od prawego skrzydła, w których najstarszy akademik powoził panią kanclerzową.

W pewnych odstępach, na znak dany przez dzonków konnych, ruszały sanie, a zanim ostatnie ruszyły, mijało już czoło szlichtady portową baterją, z której salwa honorowa z dział powitała świetny poczt w przelocie.

Cała droga na lodach wytyczona była jodełkami, osadzonemi między kilkoma bryłami lodu co kilkadziesiąt kroków i nie prowadzona w prostej linii, ale dosyć nawet kręto, tak że się w ciągu podróży przyjrzeć można było ludziom i koniom, strojom i saniom, gdy się ten ozdobny boa w kłębach zwiłzał po lodzie.

Mrok począł padać i zciemniło się nagle, gdyśmy w głębszej zatoce ujrzeli gmach piętrowy, którego wszystkie okna były rzęśisto oświetlone. Na wielkim równym brzegu gorzał tu stos drzewa z kilku sążni. Dokoła niego była wielka czworogranna baryera, do której przypierały sanie rzędem z kolei. Każde sanki zachodziły najprzód pod dach stępo — tu wysadzał każdy swoją damę, a potem konie i sanie odbierała służba.

Drzwi wchodowe były z wagą, i już sień wielka była ogrzana, a że sanie zachodziły zwolna jedne po drugich, wchodził każdy z swoją damą z osobna.

Wspaniałe wschody prowadziły na piętro; do drzwi na lewo wchodziła dama, do drzwi na lewo mężczyzna. Kilkanaście minut zostawiono przybyłym do poprawienia stroju; następnie ozwała się muzyka grzmiącym marszem i wszyscy razem weszli z przeciwnych podwoi do balowej sali. Tu odszukał każdy swoją damę i oddając bukiet, podawał jej rękę. Wielkimi szeregami obchodziło całe grono balową salę dokoła — sto pięćdziesiąt było san, a więc trzyście osób, prócz gospodarzy, których zastaliśmy oczekujących nas na miejscu. Gdy się damy rozsiadły po ławeczkach i łóżach, poczęto roznosić grzane wino czerwone, więcej słodszone i wonne dla dam, więcej korzenne i mocniejsze dla mężczyzn — a potem wirowały pary w szalonym walcu bez końca, dopóki wieczera nie powołała całego balowego koła do jadalnej sali.

Po wieczery grała muzyka tylko symfonie i nie tańczono więcej, aby się dostatecznie ochłodzić przed

powrotną jazdą. Sala była już dobrze ochłodzona, gdyśmy po wieczerze na nią powrócili i tu każdy wniósł futro i berlaczki dla każdej damy z garderoby, szale, kapoty i zarękawki; wszystkie damy przechadzały się już ubrane po sali, a tym samym porządkiem jak odeszły, zajeżdżały sanie, wolno i stępo posuwając się po oświetlonej drodze, dopóki wszystkie nie ruszyły z miejsca.

Prześliczny był to widok tej szlichtady wśród nocy. Jak we dnie jedliną, tak teraz smolnemi kagańcami była wytyczona droga. a jak szyba zwierciadłana połyskiwały gładkie lody do światła.

Z balowej sali do portu było małe dwie mile, ale wyciągniętym kłusem jadąc, nie jechaliśmy nad godzinę. Północ biła, gdyśmy stanęli napowrót w Królewcu i gdy się z portu po ulicach miasta rozpięchły saneczki...

Taka była pierwsza nasza wyprawa na lodach. Druga miała zupełnie inny charakter, bo miasto pięknych oczu i gorzących kagańców przyświecały nam ślipia wilków.

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCJE TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Wrocław, w połowie marca.

Jak stolica Ślązka pruskiego wygląda w czasie karnawału? Odpowiedź na to zapytanie brzmi: Nie tak jak Wenecja lub miasta nadreńskie, zwłaszcza Kolonia, nawet nie tak jak Warszawa. Prawda, że muzyka wszędzie huczy, że tańczą gdzie tylko sposobność ku temu; ale pomimo wszelkiego usiłowania, zabawom czy to publicznym, czy prywatnym zbywa na owęj werwie serdeczną cechującą wesołość, a bale w resursach i klubach w niezem prawie nie różnią się od tych, które rozmaite cechy rzemieślnicze wyprawiają. Tu jak i tam czeza jednostajność opiera się rozwinięciu prawdziwej owęj radości, owego nastroju obojętnego, nieraz i swawolnego nawet, jaki spostrzegać się daje nietylko

(Ob. dodatek)

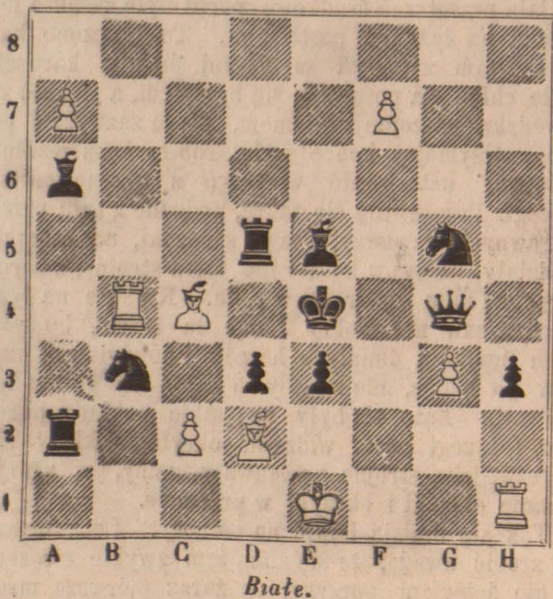
Szachy.

ZADANIE CCCXLVIII.

(B. A. Winawer w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 347.

Białe.

Czarne.

- 1) H5—C5† . . . 1) D6—C5 biorą † odkryty.
- 2) E4—D2† odkryty 2) C6—D6.
- 3) D2—C4† i mat.

Widoczna jest rzecz, że gdyby czarne w pierwszym posunięciu nie były królowej białej, dostałyby zaraz mata z C6 na C8.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 391.

Prawda ludzi w oczy kole.

(Dodatek).

w wyżej wspomnianych miastach, ale i w południowej części Niemiec. Jak w stolicy całego państwa, tak i tu klimat i charakter ludu widać nie sprzyjają hucznym zabawom karnawałowym. Dlatego maskarada, urządzona przez włoszczonego Niemca, bawiącego tu z towarzystwem swoim w celu przedstawienia rozmaitych grup podług antyków, nie spotkała wielkiej w publiczności sympatii, choć damy tegoż towarzystwa, Włoszki, przynajmniej z imienia, a do tego dość powabne, wystąpiły w stroju debardierów, co u nas należało do rzeczy dotąd niepraktykowanych, z oklaskiem jednak przyjęte zostało ze strony złotej młodzieży. Oprócz balów po miejscach dostatecznie ogrzewanych i oświetlonych, odbywały się i inne na zwierciadlanej powierzchni kanału miasto otaczającego, w odwiedzanym których młode pokolenie męskie i żeńskie szczególniejsze w tej zimie znajdowało upodobanie. Z grona niewieściego niejedna zadziwiała śmiałością, z którą wykonywała przeróżne zakrety i zygagi, aż zmęczona usiadła na saneczkach, które usłużny kawaler kierował. Gdzie młódź płci obojgiej uczęszcza, tam nie trudno o zbliżenie się z jedną i drugą stroną; dlatego na lodzie niemniej jak na sali balowej w tym roku zawiązały się sercowe stosunki, doprowadzające do wymiany obrączek, jeżeli niema zawady.

Ilustracyi osobliwego rodzaju doznał karnawał tegoroczny z powodu wyboru posłów do parlamentu północno-niemieckiego, w pierwszej połowie lutego odbytego. Mnóstwo przy owych wyborach popełniano śmieszności, świadczących o niedojrzałości politycznej niższych warstw społeczeństwa.

Mało w porze karnawałowej było koncertów, ale zato publiczność wrocławska miała sposobność osobistego zapoznania się ze śpiewaczką panią *Viardot-Garcia*, za czasów restauracyi francuskiej słynną już artystką, która dwa razy występowała w koncertach towarzystwa orkiestrowego, a doskonałością sztuki swęj, do najwyższego stopnia podniesioną, zelektryzowała słuchaczy. Głosu wprawdzie posiada już niewiele, ale czego z tej strony jej brakuje, z drugiej zastępuje koloraturami po mistrzowsku wykonanemi, biegłością podziwienia godną pasażów, które w najszybszym tempie nawet brzmiały jak srebrne dzwoneczki, przewyborną deklamacyą i wzorową dramatycznością.

Zjawiło się nareszcie na tutejszej scenie w Afrykance dzieło pozostałe po Meyerberze. Dyrekcyja nie oszczędziła kosztów na okazałe przedstawienie; co do muzyki zaś znawcy zgadzają się wszyscy na to, że kompozytorka, w której, nawiasem mówiąc, nie zbywa na zwrotach i ustępach pierwsze opery mistrza przypominających, czuć mniej więcej wszędzie uganianie się za efektem. Meyerbeer pracował z pełnym wyrachowaniem, używając wszelkich środków dla dostąpienia sławy; utwory jego po wielkiej części są płodami rozumu, a w tym głównie się różnią od utworów Haydna, Mozarta i Beethovena, które głośnie będą jeszcze wtedy, kiedy o Meyerbeerze nikt już nie wspomni.

Do smutnych następstw przeszłorocznej wojny należy między innymi i znacznie większa niż zwykle liczba umysłowo cierpiących, zwłaszcza kobiet. Zakład rządowy w Lubiążu (Leubus) wsi okręgu wrocławskiego (Wohlau) nad Odrą położonej, utworzony z klasztoru cystersów, założonego w 12 stuleciu przez Bolesława Wysokiego, pierwszego udzielnego księcia szlązkiego, urządzony na 100 osób, przepełniony jest, również jak i instytut prywatny profesora Neumana w Popowicach (Popelwitz), tuż pod Wrocławiem, rzeczywiście godzien polecenia, gdyż chorzy, za miernym stosunkowo wynagrodzeniem (400 talarów rocznie za stancją z pościelą, stół, opał, oświetlenie, pranie, lekarstwa i pomoc lekarską) troskliwą znajdują tam opiekę, a właściciel zakładu słynie z uzdrawiania osób umysłowo lub na rozdrażnienie nerwów cierpiących.

Lwów w marcu.

Zapusty, głośniejsze w tym roku niż w innych latach, z powodu liczniejszego zjazdu obywateli wiejskich, zakończyły się jakby świętym fajerwerkami, trzydniową redutą, powtarzającą się wieczór po wieczorze przez trzy dni ostatnie zapust, i loteryą fantową na dochód domu sierot, którą odbyto we czwartek, nazajutrz po środzie popielco-

wój, korzystając z urządzenia udekorowanej za-pustnie sali teatralnej. Tak tedy, wytańcowawszy się dosyć, rzuciwszy i grosz jałmużny w skarbonkę ubogich, powracamy do dawniej powagi i zwykłych codziennych zatrudnień, które tym razem zdają się raczej odpoczynkiem niż pracą.

Zawiązało się tu téż zimy Towarzystwo sadownicze, pod skrzydłem Towarzystwa gospodarskiego, i ze zbliżającą się wiosną rozpoczyna swe czynności. Protektorem jego jest Alfred hr. Potocki, członkami wszyscy miejscowi jak i zamiejscowi pomologowie, a jest téż wielu pomiędzy nimi i takich, co pomologią znają tylko i lubują się w niej przy wetach po dobrym obiedzie. Ale to nie nie szkodzi, — przeciwnie. Im bardziej powiększy się liczba członków nowego Towarzystwa, tém więcej rozpowszechni się w Galicyi zamilowanie sadownictwa, mogącego być zarazem uprzyjemnieniem życia i znacznego dochodu źródłem. Zamiarem Towarzystwa jest założyć szkołę sadownictwa, w której pobierałoby naukę zwłaszcza ucześniejszy na kurs pedagogiczny kandydaci na nauczycieli wiejskich, tudzież inna młodzież, chcąca się naukowo i praktycznie oзнакомиć z tą tak potrzebną w życiu wiejskiem gałęzią gospodarstwa. Przy szkole będzie sad, wzorowo pielęgnowany, który sam właściwie będzie szkołą, gdzie uczniowie mają się zaprawiać do pracy około umiejętnego pielęgnowania drzew owocowych. Gmina tutejsza odstępuje na ten cel Towarzystwu rozległy ogród na przedmieściu Piekarskiem, gdzie obecnie istnieje już od lat kilku założona przez ogrodnika miejskiego na małą skalę szkółka drzew owocowych. Jak mało dotąd jeszcze uprawiane jest sadownictwo, przekonać się można było na ostatniej wystawie gospodarskiej tutejszej weszłym miesiącu, na której dział owoców najmniej był obfity. Kilku w pobliżu Lwowa lubowników posiadających sady, jak pp. Lityński, Majer, Wilczyński, dostarcza nam wysoce uszlachetnionych, nieraz do podziwienia pięknych owoców; oni téż dostarczyli ich i na wystawę, ale na tém koniec. Oprócz słynnych czereśni kłeparskich, nie mamy w Galicyi owoców, któreby swą szczególniejszą pięknoscią zjednały sobie nadzwyczajną sławę. Kraj w ogóle ubogi jest w sady. Stara grusza lub jabłoń, kilkanaście drzew śliwowych, lub samopas w lesie rosnące czereśnie, oto są po największej części sady nasze. Lud niewybrębny w smaku, zadowala się ciernią kwaśnicą, lub małą, nakształt ziemniaka twardą gruszką, przedwcześnie zerwaną i niedojrzałą. Towarzystwo sadownicze ma więc otwarte przed sobą, rozległe a wdzięczne pole. Miałbym nadzieję, że jego staraniem, za lat kilka lub kilkanaście, wsie tutejsze ożywią się bujnych sadów zielenią, woniejących młecznym kwieciem z wiosną, a uginających się pod ciężarem obfitego owocu w jesieni.

Spodziewamy się także wkrótce mieć dobrą szkołę gimnastyki. Zawiązało się w tym celu Towarzystwo, które z bardzo małych składek miesięcznych pobieranych od swych członków, zamierza założyć taką szkołę, w której członkowie wraz z rodzinami bezpłatnie, a inni nienależący do Towarzystwa za małą opłatą, będą mogli pobierać tę dla zdrowia i wykształcenia sił fizycznych tyle potrzebną naukę. Dotychczas mieliśmy dwie szkoły gimnastyki we Lwowie, jedną p. Leśniewicza, przystępną dla całej publiczności, ale za dosyć wysoką opłatę; drugą wyłącznie dla straży ogniowej. Rada miejska, uznając potrzebę ćwiczeń gimnastycznych dla młodzieży, kazała na swój koszt uczyć w kursie zimowym kilkuset uczniów gimnazjalnych w szkole p. Leśniewicza, gdzie kolejno, zmieniając się co dwa miesiące, ćwiczenia odbywali. P. Leśniewicz pobierał za to z kasy gminnej ryczałtowe wynagrodzenie roczne 2400 zł. Przeciąg jednakże dwumiesięczny jest zakrótki. Ćwiczenia gimnastyczne, jeżeli mają odpowiadać celowi, hartować zdrowie i rozwijać siły, muszą być nieustannie powtarzane. Otóż w szkole Towarzystwa gimnastycznego będzie za znacznie mniejszą opłatę udzielana nauka gimnastyki przez rok cały i ćwiczenia odbywać się mają nieprzerwanie. Gimnastyka straży ogniowej posiada znowu zupełnie odrębną cechę. Dzięki téż tej szkole, straż ogniowa tutejsza może się liczyć do najlepszych, tak dobrze jest uorganizowana i tak zręczną.

Kiedy mowa o stowarzyszeniach, wspomnę jeszcze o zwadzie tutejszych stenografów. Wiadomo

wam iż mieliśmy tu zawiązane przed kilku laty dwa Towarzystwa stenografów, pod przewodnictwem pp. Olewińskiego i Polińskiego, z których pierwszy wykładał naukę stenografii na uniwersytecie, a drugi w akademii technicznej. Olewiński zastosował system Gabelsbergera do stenografii polskiej i wydał książkę w tym przedmiocie, a następnie uzyskał, obok zezwolenia wykładu nauki swęj na wszechnicy, przywilej rządu na egzaminowanie uczniów stenografii i wydawanie im świadectw, mających urzędową ważność, przez co Towarzystwo przezeń zawiązane i z uczniów jego złożone, zyskało pierwszeństwo przed Towarzystwem Polińskiego. Polińskiemu zarzucano, iż przyjąwszy także za podstawę system Gabelsbergera, w zastosowaniu go do stenografii polskiej wprowadza ciągle nowe zmiany w swą pisownię, w celu jej doskonalenia, przez co pismo jego zmienia się co parę miesięcy tak dalece, że uczniowie jednego kursu nie są w stanie odczytać tego, co pisali uczniowie tej samej szkoły w przeszłym kursie. Nieustannie odbywały się głosy o potrzebie porozumienia się i zlania w jedno obu Towarzystw, dla wprowadzenia jednolitości w naukę, rozstrzelającą się tym sposobem w rozmaite kierunki. Wprawdzie były także zdania utrzymujące, że wszechstronność ta nie szkodzi, ale owszem posuwa naukę, torując jej nowe drogi; wszelako ostatecznie przemogło przekonanie o potrzebie porozumienia się. Wyznaczono ku temu pełnomocników ze strony obu Towarzystw i rozpoczęły się rokowania. Trwały one długo, nieszczęściem jednak nie doprowadziły do żadnego skutku, gdyż obadwa Towarzystwa oświadczały się wprawdzie z chęcią zjednoczenia, ale każde z nich kładło warunek, aby przy niem nadal zostawało przewodnictwem zjednoczonego Towarzystwa i aby jego system za dobry uznany i przyjęty został. Ani jedno ani drugie Towarzystwo, ani p. Poliński, ani p. Olewiński nie okazali się skłonniymi do ustępstw wzajemnych. Tymczasem w łonie samegoż Towarzystwa p. Olewińskiego zaszły nieporozumienia, dotyczące zarządu wewnętrznego. Na dorocznym walnym zgromadzeniu usunięto z urzędu prezesa p. Olewińskiego, a wybrano natomiast prezesem p. Siedmiograję, profesora gimnazjalnego. Ponieważ wybór odbył się ściśle wedle przepisu statutów, rząd zatwierdził p. Siedmiograję jako prezesa Towarzystwa; ale p. Olewiński, dotknięty tym zwrotem rzeczy, nie chcąc ulegać nowemu prezesowi, wystąpił z Towarzystwa i w gronie swych uczniów założył nowe. Tak więc, zamiast połączonego jednego, mamy obecnie aż trzy spierające się ze sobą i spółzawodniczące Towarzystwa stenograficzne. Spór między obu ostatnimi przeniósł się nawet na drogę sądową. Zajścia te nie dodają powagi żadnemu z tych Towarzystw, przeciwnie szkodzą w najwyższym stopniu rozwojowi nauki, jak i stanowisku stenografów. One to były przyczyną, iż wydział krajowy nie widział w żadnym z pomienionych Towarzystw dostatecznej rękojmi do powierzenia mu na przedostatniej i ostatniej sesyi sejmowej biura stenografów, i spisywanie sprawozdań stenograficznych poruczył przedsiębiorcy prywatnemu, który własnym staraniem biuro to złożył i za dokładność sprawozdań był odpowiedzialnym.

W maju wybieramy się w drogę. Jedziemy na wystawę paryżką. Oczywiście nie wszyscy; ale kto ma do poświęcenia na ten cel 400 zł., czyli sto guldenów austriackich brzęczącą monetą, może za tę stosunkowo bajecznie niską cenę przejechać się tam i napowrót i oglądać przez dni czternaście cuda całego świata. Dwóch przedsiębiorców wiedeńskich, pp. Michajlovich i Neumayer, urządzają pociągi towarzyskie, każdy po trzysta osób, i zapraszają do podróży za cenę powyższą, przyrzekając podróżnym wszelkie wygody i ułatwienia, tak w oglądaniu wystawy, jak i innych osobliwości Paryża. Pierwszy urządza swój pociąg pod urzędową gwarancją ministerstwa handlu, a przedpłatę zbierają Izby handlowe; celem bowiem głównym tego przedsiębiorstwa jest, aby mniej za możliwym przemysłowcom monarchii austriackiej ułatwić sposobność poznania postępu przemysłowego innych krajów. Drugie przedsiębiorstwo jest całkiem prywatne. Ażeby zaś więcej jeszcze zwabić ochotników, puszcza p. Neumayer bilety jazdy swojej także na loteryą, po 10 zł., a bilet noszący numer, jaki wyjdzie pierwszy na loteryi wiedeńskiej dnia 17 kwietnia b. r., nabywa prawo

odbycia bezpłatnej podróży na wystawę paryżką towarzyskim pociągiem.

Wydział krajowy postanowił wysłać dwóch, a Rada miejska trzech techników lub rzemieślników tutejszych kosztem swoim, dla zwiędzenia wystawy. Rozpisane zostały tym celem konkursy, a kandydaci, życzący sobie odbyć tę podróż kosztem gminy lub funduszu krajowego, mają się zgłosić z prośbami swemi do końca bieżącego miesiąca. W podaniach mają wykazać uzdolnienie w zawodzie technicznym lub praktyce rzemieślniczej, tudzież jaką szczególniej gałęź przemysłu zamierzają badać na wystawie, celem zastosowania jej w kraju. Wróciwszy z wystawy, obowiązani będą przedłożyć naukowe sprawozdanie Radzie miejskiej i Wydziałowi krajowemu. Na przeszłą wystawę wysłano kosztem gminy trzech rzemieślników; ale ze doświadczenie okazało, iż rzemieślnik nieposiadający wyższego wykształcenia technicznego, nie może z samego przypatrzenia się wyrobom przemysłowym odnieść wiele korzyści, nie będąc zarazem w warsztacie świadkiem jak się owe przedmioty wyrabiają, przeto postanowiono obecnie wysłać ludzi więcej teoretycznie wykształconych. Kandydatami są dyrektor urzędu budowniczego miejskiego p. Zapałowicz i profesor technologii przy akademii technicznej Ginsberg. Będzie też zapewne wysłany któryś z profesorów dublańskich.

Wracając do towarzyskich pociągów wiedeńskich, dodam że warunki stawiane przez obu przedsiębiorców są tak zachęcające, jakby umyślnie obliczone były na to, ażeby i największego domatora w podróż wywabić. P. Michajlovich za sto guldenów zobowiązuje się podróżnych swoich zawieźć do Paryża tam i napowrót, dać im pomieszkanie, pokój na dwie osoby, tudzież wikt w czterech pierwszych hotelach stolicy, składający się z rana z herbaty z przystawkami i obiadu o sześciu potrawach z butelką wina. Dalej dziesięć biletów na wystawę i bilety wstępne do wszystkich innych muzeów paryżkich. Bezpłatna wycieczka do St. Cloud i Wersalu. Dzień pobytu w Sztudgardzie jadąc tam, a dwa dni w Mnichowie z powrotem. O ile te przyrzeczenia spełnią się, doniosę za dwa miesiące z Paryża, jeżeli zechcecie.

Poznań, 29 marca.

Po Towarzystwie przyjaciół nauk, o którym w przeszłej korespondencji wspominałem, uważam za rzecz stosowną wspomnieć teraz o wydawnictwie książek, urządzonem tutaj przez ks. Bazyńskiego, proboszcza kościoła św. Wojciecha. Nie można tej publikacji porównać z wydawnictwem Trzecieckiego w Krakowie; ks. Bazyński bowiem zamierzył sobie tylko puszczanie w obieg dobrych a tanich książek, mając głównie na celu czytelnie przeznaczone dla użytku i oświaty ludu. Nie jest też to żadne Towarzystwo, tylko ks. Bazyński zebrał około 1500 podpisów różnych osób, a te, płacąc rocznie po talarze, odbierają za to najmniej 30 arkuszy druku w oprawnych książeczkach, jak: powiastki moralne, życiorysy świętych i t. p. Obecnie nawet drukuje ważniejszą pracę, Medycynę popularną dla użytku domowego, napisaną przez dr. Mateckiego i upremiowaną z funduszu Bredkrajca, Towarzystwu przyjaciół nauk na ten cel zapisanego. Za prace autorskie ks. Bazyński ofiaruje 300 do 600 złp. nagrody. Trzy lata istnieje to pożyteczne przedsięwzięcie i przez ten czas wydano już składującym 12 książeczek powyższej treści. W uroczystość św. Jana Kantego, jako patrona nauk, odprawia zwykle ks. Bazyński w kościele uroczystą wotywę, na którą zaprasza przyjaciół swego wydawnictwa „dobrych a tanich książek”. Miało to miejsce i w roku zeszłym, dnia 21 października.

Zarząd Towarzystwa przyjaciół muzyki, zawiązanego u nas w ostatnim kwartale 1865 roku, składa się z pięciu osób, pod przewodnictwem p. Macieja Dembińskiego, dyrektora muzyki w tutejszym kościele katedralnym. Za główne zadanie wzięło ono sobie pielęgnowanie i ćwiczenie się w religijnym śpiewie. W tym celu zebrało się odrazu przeszło 60 członków. Każdy członek Towarzystwa, czy w śpiewie biegły, czy też dopiero początkujący, płaci wstępnego 2 złp., a następnie po złotówce miesięcznie.

Prócz tego przyjmuje Towarzystwo członków honorowych.

Mówiąc o muzyce, pozwolimy tu sobie jeszcze wspomnieć słów kilka o panu Maksymilianie Greckim. W czasopiśmie wydawanem w Lipsku pod tytułem: Neue Allgemeine Zeitschrift für Theater und Musik, czytamy o nowej kompozycji p. Greckiego „Trzy myśli ulotne, w kształcie mazurów” wzmiankę nader pochlebną, a poprzednio już inne pismo muzyczne, w Lipsku wychodzące, oceniło jego piosnkę „Do zachodu słońca”, podnosząc zaszczytnie zalety naszego artysty jako kompozytora.

Przejdźmy teraz do stowarzyszeń mających cele przemysłowe lub materyalne.

Pierwsze stowarzyszenia rolnicze zawiązano w w. ks. poznańskim w r. 1838, a mianowicie w miasteczku Gostyniu, tworząc, obok Kasyna, Wydział rolniczo-przemysłowy i w Gnieźnie Towarzystwo rolnicze. Działanie tych towarzystw trwało aż do r. 1845, w tym bowiem czasie rząd krajowy wcielił je w skład centralnego Towarzystwa dla całej prowincji, zachowując jednakże odrębną działalność w okręgach i powiatach.

Gdy w r. 1850 ogłoszono w Prusach prawo o stowarzyszeniach, powstały znów dwa towarzystwa rolnicze: średzko-gnieźnieńsko-wrzesińskie, a później gostyńskie, które za pomocą wydawanego wówczas czasopisma pod tytułem Ziemiannin, rozbudziły nanow ogólnie poczucie potrzeby stowarzyszenia się w celach gospodarczych. W roku 1860 powstało jeszcze Towarzystwo rolnicze szamotulskopoznańskie. Trzy więc powyżej wymienione towarzystwa wybrały z łona swego komisją, która się zajęła ułożeniem i zredagowaniem projektu do statutu i przygotowaniem przedwstępnych czynności, dla zcentralizowania wszystkich towarzystw rolniczych w. ks. poznańskiego. W tym celu w Poznaniu d. 21 lutego 1861 r. przyjęto statut przez komisją poprzednio wygotowany. Statut ten w niczem prawie nie różni się od poprzedniego, dla centralnego Towarzystwa przez rząd wydanego. Towarzystwa filialne powiatowe nie traciły swęj samodzielności i miały nadal istnieć, z obowiązkiem tylko składania rocznie 1/3 części swego dochodu do kasy centralnej. Centralne zaś Towarzystwo wzięło sobie za zadanie: wzajemne oświecanie się przez pisma i wspólne narady, przez oświecanie urzędników gospodarczych i robotników, przez doskonałe nie produkcji, uprawy roli i chowu bydła domowych, przez zaprowadzenie wszelkich instytucji mogących służyć do osiągnięcia celów powyżej wskazanych, jak n. p. założenie szkoły agronomicznej, banku rolniczego, stacyi chemicznej i t. d. Wystawy zwierząt, płodów, narzędzi i machin rolniczych, z wyznaczeniem nagród, miały się odbywać raz do roku w Poznaniu. Wreszcie podzielili się wszyscy członkowie na trzy wydziały, t. j. ogólny, rolnictwa i chowu inwentarzy.

Laboratorium chemiczne, którego aparaty, kosztem Towarzystwa rolniczego zakupione i oddane początkowo do użytku tutejszemu Towarzystwu przyjaciół nauk, powierzone następnie zostały zarządowi dr. J. Szafarkiewicza, profesora tutejszej szkoły realnej, wyświadczało tyle tylko usługi Towarzystwu rolniczemu, iż przez lat kilka nadsyłane przez członków próby ich ziem i różne kopalne przedmioty w niem rozbiórano i sprawozdania o tém w Ziemianninie ogłaszano. Łatwo więc pojąć, iż niewielkie ztąd wypływały korzyści, a koszta w znacznej części dochody Towarzystwa pochłaniały, chociaż interesenci obowiązani byli płacić za analizy przedmiotów przez siebie przysyłanych. Zgorzenie przeto domu w którym się ta pracownia znajdowała, przyszło może bardzo Towarzystwu w porę.

Pojawiły się także pomysły premiowania sług wiernych i uczciwych, długo na jednym miejscu w służbie pozostających; lecz z tego wypłynęło tylko całkiem inne i oddzielne Towarzystwo wspierania urzędników gospodarczych, które wzrastając ciągle, najpomyślniejsze już teraz wydaje skutki. Z końcem upłynionego roku skończyło to Towarzystwo sześć lat swego istnienia, a z ogłoszonego sprawozdania rocznego pokazuje się, iż liczy obecnie 587 członków, którzy podpisali roczną składkę w ilości 14,076 zł., miało zaś dochodu w roku przeszłym 16,392 zł. Oprócz pośredniczenia i wskazywania miejsc urzędnikom gospodarczym, będącym

jego członkami, udzieliło Towarzystwo przez rok ubiegły czternastu urzędnikom pozostałym bez miejsca wsparcie w ilości 3562 zł. Niezależnie od tego przez lat sześć ubierany jeszcze został przepisany statutem fundusz żelazny 60,000 zł., tak iż teraz ułożony już być może projekt dawania emerytury wysłużonym urzędnikom gospodarczym, będącym członkami Towarzystwa, z odsetków tego kapitału, lub też wspierania pozostałych po nich wdów i dzieci do czternastego roku życia.

Ogłaszano też konkursowe zadania w zawodzie rolniczym, jak: opracowanie Przewodnika praktycznego robót gospodarczych, wedle następstwa czasu ułożonych; Poradnika miesięcznego dla gospodarzy wiejskich w. ks. poznańskiego, za który wyznaczono 1800 zł. nagrody, lub 1000 drukowanych egzemplarzy na własność; nakoniec Flory w. ks. poznańskiego, do potrzeb rolników zastosowanej, z nagrodą 3000 zł. Wszystko to jednak skończyło się na życzeniach.

Towarzystwo gospodarcze miało także ciągle na oku wystawy europejskie, a osobliwie rolnicze, jak dawniej londyńską, przed dwoma czy trzema laty szwajcarską, następnie zaś wrocławską, wysyłając tamże z ramienia swego delegowanych, z poleceniem, aby po powrocie zdawali na zebraniach członków sprawozdania ze swych spostrzeżeń. Czy zaś zamysła wysłać także kogoś w tym roku do Paryża, nie jest mi dotąd wiadomo. Samo Towarzystwo nasze, podczas zebrania członków po powiatach, urzęda wystawy inwentarzy gospodarczych, nasion, płodów rolniczych, ogrodowych i przemysłu gospodarskiego, robi próby orki i t. p.

Z zapowiedzianych przez Towarzystwo Roczników, tylko jeden tom w r. 1862 wydany został, organem zaś jego jest dotąd Ziemiannin, pismo wydawane od r. 1850 do 1855 w zeszytach miesięcznych, pod redakcją Włodzimierza Wolniewicza i Wojciecha Lipskiego. Później objął redakcją Antoni Rose i wydawał je w arkuszach tygodniowo, po jego zaś śmierci w r. 1862 prowadził dalej redakcją profesor dr. Józef Szafarkiewicz. Godną jest jednak zastanowienia rzeczą, iż gdy Towarzystwo rolnicze liczyło w roku zeszłym około 500 członków, a według statutu każdy z nich obowiązany był trzymać Ziemiannina, przecież to pismo przed nowym rokiem liczyło tylko 370 prenumeratorów, a więc zaledwie utrzymać się zdołało, przyczyniając swemu właścicielowi i redaktorowi więcej pracy jak korzyści. Dlatego też dr. Szafarkiewicz złożył jego redakcją, a Towarzystwo od nowego roku przyjęło Ziemiannina na swój własny rachunek. Wychodzi on odtąd pod redakcją bezpośrednią p. Józefa Mrozińskiego, sekretarza zarządu Towarzystwa, we względzie działu praktycznego rolnictwa i nauczyciela Sosnowskiego pod względem technicznym.

Nie można więc zaprzeczyć, iż życia i ruchu w Towarzystwie naszym rolniczym jest wiele, przedsięwzięć i pomysłów jeszcze więcej, lecz dotychczas owoców i skutków bardzo mało. Trudno także nie uznać, iż gospodarstwo rolne u nas w ostatnich czasach znacznie się podniosło. Majątki wzrastają, a przymusowych sprzedaży dóbr coraz mniej, co jednak raczej prywatnemu zrozumieniu własnego interesu i chęci podążenia za ogólnym postępem w rolnictwie, nie zaś bezpośredniemu wpływowi naszego Towarzystwa rolniczego przypisać należy. Jednego tylko aż dotąd nie zdołaliśmy się nauczyć: oszczędności i gospodarstwa domowego, przez co dość często lekkomyślnie trwonimy to, cośmy przez dobre gospodarstwo rolne zyskali. Smutne skutki tego aż nadto jeszcze często mamy przed oczami; ale nałóg wiekowy niełatwo da się wykorzenić. Towarzystwo zaś nasze tę może główną ma wadę, że będąc przeważnie handlowym i teoretycznym, mniej zważa na stronę praktyczną, a zamykając się ciągle tylko w gronie pewnych osób, nie stara się rozszerzyć swego wpływu na ogół.

Ostatnie walne zebranie Towarzystwa rolniczego mieliśmy tu w Poznaniu w grudniu r. z. Na niem wniesiono piękne projekta, a nawet uchwalono założenie szkoły wóldarzy, oraz umieszczanie młodzieńców na praktykę po wzorowych gospodarstwach; lecz czy to przedsięwzięcie nie skończy się na projekcie, czas może blizki okaże.

CICHA WODA BRZEGI RWIE,

Przysłowie dramatyczne w jednym akcie wiérsem,

przez

JANA CHECIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Scena 13.

ROCH, LUDWIKA, WIKTOR.

ROCH (strwożony wzruszeniem córki).

Dziecko!

LUDWIKA (tuląc się do niego).

Ojcie drogi!

Ocal mnie!

ROCH (zdziwiony).

Co?

LUDWIKA.

Nie mogłam wejść w świątyni progi
I przymuszona żywcem zakopać się w grobie,
Mając miłość Wiktora i nadzieję w tobie!

WIKTOR (z radością).

Boże!

ROCH.

Ależ...

LUDWIKA (z gorączkowym pośpiechem).

Wróciłam ukradkiem w karęcie

Od matki Gerwazego.

ROCH (z radością).

Dzięcię! drogie dzięcię!

LUDWIKA (j. w.)

Prawda, ty mnie ocalisz?

ROCH.

Więc kochasz Wiktora?...

I czemuż?...

LUDWIKA.

Oh! nie teraz do objaśnień pora,
Najpiérw mi opiekę zapewnij łaskawą,
Wiem na co cię narażam, lecz przecie masz prawo
Oprzyć się...

ROCH.

Ależ to sen!

WIKTOR.

Drogi profesorze!...

ROCH (chwiejąc się, jakby tracił siły).

Mój przyjacielu!...

LUDWIKA.

Ojcie!

(Ludwika z jednéj, Wiktor z drugiejszypodtrzymująRocha).

ROCH.

Nic... nic... o mój Boże!

To nic, to nagła radość, co chwilowo mroczy
Jak blask, gdy się stracone odzyskuje oczy.

(uspokaja się zwolna, potem zwraca się do córki, wyciągając
ku niéj ramiona).

Ludwiko!

LUDWIKA.

Ojcie!

(rzuca się w jego objęcia).

ROCH (tuląc ją).

No, no, Niniu, bez obawy...

(po maleńkiej chwili).

Ah! odetchnąłem... więc i dla mnie Bóg łaskawy!

(do Wiktora, odzyskawszy energią).

Ha! siadaj do karéty i w żywym zapędzie

Leć do fary, oznajmić że ślubu nie będzie...

Reszta do mnie należy.

WIKTOR (całując ręce Ludwiki).

Mój raj!

ROCH (do Wiktora).

Spiesz.

WIKTOR (wybiegając)

Lece!

ROCH (idąc za nim ku drzwiom).

Potém wróć!

(wraca do Ludwiki).

Scena 14.

ROCH, LUDWIKA.

LUDWIKA (pieszcząc ojca).

Oh! wiedziałam że w twojej opiece

Znajdę życie; toż widząc cios co mi zagraża,
Postanowiłam, choćby u stopni ołtarza,
Wyrzec „nie.“

ROCH.

Ale czemuż było do ostatka?...

LUDWIKA (z pośpiechem).

Zacna, lecz głównie o chleb troszcząca się matka,
Po wyjeździe Wiktora, czy sama zwiedziona,
Czy w nadziei że plotką upór mój pokona,
Zapewniła, że Wiktor już jakby żonaty,
Że się jakiéjsz dziedzicze oświadczył bogatéj...

ROCH (odgadując wszystko).

Ah!... rozumiem!

LUDWIKA.

Tymczasem dziś...

ROCH (przerwywając).

Cyt!... tentent koni

I turkot ustał nagle...

(idzie do okna i patrzy na ulicę)

Tak, to pewno oni...

Wejdz tam...

(wskazuje na prawo).

LUDWIKA.

Mój ojcie!

ROCH.

Nie drzyj, widzisz, jam spokojny,

(wprowadziwszy ją do pokoju na prawo, zamyka drzwi)

Tak! No, mości pantoflu, szykuj się do wojny;

Po tak długim rozejmie niezbyt łatwa praca...

Lecz nie dam sobie wydrzcć co mi Bóg powraca.

Scena 15.

ROCH, DOROTA.

DOROTA (za sceną).

Panna! panna! gdzie panna? oniemiałaś głąbie?

(z krzykiem).

Gdzie? gdzie?

ROCH

Aha! straż przednia już z gwintówek rąbie.

DOROTA (wbiegając zadyszana).

Niéma! niéma! porwana! hultaj! jestem pewna,
To on!

(sposzrega Rocha i podbiega ku niemu, mówiąc szybko i za-
leudwie chwytając oddech).

To ty! twój Wiktor... cóż stoisz jak z drewna?

Nic nie wiesz? aj! rusz się, co ściągasz ramiona?

Brak mi tchu!

ROCH (łagodnie jak w 1éj scenie).

Co się stało?

DOROTA.

Co? co? (z krzykiem) wykradziona!

ROCH.

Kto?

DOROTA.

Ninia!

ROCH.

Ninia?

DOROTA.

Ninia! Ninia! córka nasza!

ROCH.

Lecz, przepraszam cię Doniu...

DOROTA.

Jest! ten znów przeprasza!

ROCH.

Posłuchaj.

DOROTA.

Idź, bierz pióro...

ROCH.

Nic jéj nie zagraża.

DOROTA.

To twój Wiktor, bierz pióro, pisz do komisarza!

ROCH.

Kiedy mówię...

DOROTA (jeszcze głośnieji).

Nic nie mów, pisz!

ROCH.

Aj! moja głowa!

DOROTA.

Trzeba dać znać policji!

ROCH.

Dajże przyjść do słowa!

Nie krzycz...

DOROTA (j. w.)

Co nie mam krzyczec? chcesz mié widziéć w trum-

ROCH.

[nie?

Ale nie; Ninia jest...

DOROTA (żywo).

Jest? gdzie? gdzie?

ROCH (wskazując na prawo).

Tam.

DOROTA (zdziwiona).

Tam?

ROCH (ze znaczeniem)

U mnie.

DOROTA.

U ciebie? więc uciekła...

ROCH (j. w.)

Do mnie, nieinaczéj.

DOROTA.

Tak?!

(chce iść do pokoju na prawo).

ROCH (zastępując)

Przepraszam cię, Doniu.

DOROTA (zdziwiona).

Hę? a to co znaczy?

ROCH (spokojnie).

To znaczy, że *mój* Wiktor nie posażną żonę,
Lecz tylko utrzymanie przywiózł zapewnione,
Że choć nie ma kamienic na swoje rozkazy,
Wart cokolwieczek więcéj niż *twój* pan Gerwazy;
Choć głowa jego nie jest głupoty świątynią,
Inne zalety droższym Ludwice go czynią;
Że mając dobrą paszę na celu jedynie,
Nie godzi się podejściem truc życia dziewczynie,
Że nareszcie z tém wszystkim, stawiając na wzglę-
Również i moję wolę, z ślubu nic nie będzie. [dzie

DOROTA.

Co? co? co? oniemiałam! aj! doktorów proście!
Tyś w gorączce! W kościele zgromadzeni goście,
Książd czeka, a tu widzę do reszty w téj chwili
Homery i Plutony mózg mu przewrócili!
Więc gdy ja chronię dziecko od ciężkich kłopotów,
Ty całą moję pracę burzyć jesteś gotów?
Ty, razem z tą niewdzięczną, knujesz na mnie spiski?
A! Sodom, Gomoro! koniec świata blizki!
Co się z tobą zrobiło? to nie do pojęcia!
Jemu się Salzmona chce gwałtem za zięcia!
Gerwazy głupi!... (z przekonaniem) Głupi, wiem o tém,
[mój drogi,

Bo kto ma trzos i rozum, nie chce dziś ubogiej.
Może tam twoi mądrzy Grecy i Rzymianie
Żenili się z biédnymi, lecz tu nie Rzym panie,
Tu Warszawa, nie Grecya, nasze Diogenesy
Pustych beczek nie cierpią, ani żon bez kiesy!
Tak rybeńko! na szczęście jam na mózg nie chora,
A ja tu rządę wszystkiém; więc, dopóki pora,
Téj zuchwałéj ucieczce nadam inną postać
I głupstwa nie dopuszczę. Niniu!

(chce iść na prawo).

ROCH (surowiej).

Proszę zostać!

DOROTA.

Co? jeszcze?

ROCH (z mocą uczucia, bez krzyku)

Ani kroku! Posłuchaj mié żono.

Jeśli prawie od chwili gdy nas połączone
Musiałem rzec się szczęścia, co otacza rajem
Dwie istoty mogące pojmować się wzajem;
Jeżeli tym zawodem na wstępie znękany,
Zamknąłem się jak więzień między cztery ściany
I na łonie rodziny, gdzie innym słodycze,
Prowadzę od lat tylu życie pustelnicze:
To nie dlatego abym nie miał dosyć siły
Zerwać węzeł, oboju może niezbyt miły,
Lecz dla dziecka, na które z przywiązaniem całym
Nadzieję radośniejszój przyszłości przelałem.
Jeślim ci w moim domu, nazbyt ustąpił z pokorą,
Władzy w zwykłych szczegółach może skoro,
Jeżeli w owych mężów zniewiesiałych grono,
Których zwią pantoflami, i mnie policzono,
To nie dlatego, aby w mém życiu znękanem
Zgasio nawet poczucie żem ja tutaj panem,
Lecz umilkłem dla ciszy, będąc pewnym siebie,
Że cię o tém przekonam w ważniejszój potrzebie.
Dziś przyszła ta potrzeba i nie w marne słowo,
Dziś muszę ci przypomnieć, żem ja tutaj głową,
Żem jest ojcem Ludwiki i mam święte prawo
Bronić ją, gdy chcesz dołé narzucić jéj łzawą;

Że gdy w tém nasze zdania nie mogą iść w parze,
Będzie nie tak jak ty chcesz, lecz jak ja rozkażę.
Skończyłem.

DOROTA (która z wielkiem zadziwieniem słuchała, mówi ze wzrastającą trwogą).

Boże święty! co się tutaj stało?

Kto tu był? kto tę chryję naprowadził całą?
Ciebie musiał ktoś wzburzyć, Roniu, powiedz szczerze
Bo ja dotąd mym oczom, mym uszom nie wierzę.
Roniu, Roniu, przyznaj się! jam pojąć nie w stanie
Kto ciebie tak zbuntował?

ROCH (pół z ironią, pół seryo).

Grecy i Rzymianie.

DOROTA.

Co? jeszcze ze mnie szydzisz? dobrze! wyśmienicie!
Zato żem wam obojgu poświęciła życie,
Żem przy tobie poznała po czemu funt biedy,
Żem z grosza prawie dziesięć robiła niekiedy,
Że moja nieuczoność, na przypadek wszelki,
Zawsze lepiej radziła niż twój rozum wielki,
Dzisiaj mi tak odpłacasz razem z tą niegodną?
Dobrze, dobrze, niech pozna co głodno, co chłodno,
Niechaj ślubu nie będzie, niech wybuchną plotki,

(z żalu przechodząc w coraz mocniejszy płacz)

Niech wszyscy wiedzą jaki pan mąż dla mnie słodki,
Niech wiedzą że ukrywał pazury zadługo,
Że dziś jest panem domu, a ja tylko sługą,
Że gdy mu radzę dobrze, uparty jak skała,
Niech wie cała Warszawa czegom doczekała!

ROCH (biorąc się za głowę).

Aj!

DOROTA (szlochając).

Ustąpię, ustąpię, nie sroż się daremnie,
Mogę całkiem ustąpić!

Scena 16.

ROCH, LUDWIKA, DOROTA.

LUDWIKA (wbiegając z prawej).

Matko!

DOROTA.

Precz odemnie!

(placze)

LUDWIKA.

A! moja droga matko! A! moi rodzice!
Czyż mój los między wami ma wzniecać różnicę?
Nie, tego nie dopuszczę! Lecz, matko kochana,
Powiedz, gdyś mnie opartą o twoje kolana,
Kłęczącą u nóg twoich małą jeszcze Ninie
Uczyła wznosić serce ku świętym krainie,
Uczyła kochać Boga i modlić się w skrusze,
Gdyś zwolna twoje cnoty wlewała w mą duszę,
Gdyś wskazywała zasad zbawiennych potęg,
Powiedz, czyś mnie uczyła fałszywej przysięgi?
Nie matko! Pókim trwała w dotkliwej pewności,
Że zawód przyćmił urok mój pierwszej miłości,
Byłabym szła z poddaniem za głosem twój woli,
Wiodąc zboliałe serce w obowiązku koleją.
Lecz gdy mi błysnął dowód, że niesłuszne wieści
Popchnęły zrozpaczoną ku drodze boleści,
Jakżebym śmiała stanąć u stopni ołtarza,
Czując że dusza moja sakrament znieważa,
Że cobądź szepcą usta, serce się wyrwa
Mimo chcąc, gdzie mu przyszłość jaśnieje szczęśliwa!
Nie matko! i ty później nie byłabyś w stanie
Patrzeć na twego dziecka powolne konanie!

DOROTA (cokolwiek zmiękczona).

Tak... ale...

ROCH.

Nie Doroto, czyż nam trzeba piekła?

Jestem pewny że po tém co ona wyrzekła,
Z narzucaniem mój woli usunąć się mogę,
Bo ci samo sumienie wskaże dalszą drogę.

DOROTA.

Moje sumienie pragnie jęj dobra, nic więcej.

Scena 17.

LUDWIKA, ROCH, DOROTA, GERWAZY, WIKTOR.

GERWAZY (za sceną).

Eh panie, powtórz nie raz, ale sto tysięcy,
Nie uwierzę, nie i nie!

(wbiegając z Wiktorem)

A, państwo łaskawi!

Co to wszystko ma znaczyć? co ten pan mi prawi?

Tożby było wesele niewesołe sobie!
Wesele niewesołe! nie ja, nawet w grobie
Będę jeszcze dowcipny. Co to jest? na Boga!
Panna Ludwika znika, w domu popłoch, trwoga,
Mama w tę, ja w tę stronę, za mną zaproszeni,
W kościele ciemno!... mówią że się nikt nie żeni,
Pędzę więc tu, na schodach napotykam pana,
Ten wpięra we mnie że już cała rzecz zerwana!
Prawdaż to?

ROCH.

Nieinaczęj.

GERWAZY (do Doroty).

Pani!...

DOROTA (pomieszana).

Ja... w istocie...

Nie wiedziałam że córka... i jestem w kłopotcie...
Lecz ona...

GERWAZY.

Co?

DOROTA.

Nie kocha...

GERWAZY (zarozumiałe).

Mnie?

DOROTA.

Tak; gdyby nie to...

ROCH (stanowczo).

A gdy córka nie kocha, ojciec kładzie veto.

GERWAZY (zdziwiony).

Ojciec? a przecież tutaj wyroki jedyne...

(spogląda znacząco na Dorotę)

ROCH.

Idą odemnie, zatem sobie przypisz winę,
Bo u mnie taki zwyczaj, mój łaskawy panie,
Że kto ojca nie prosi, córki nie dostanie.

GERWAZY (do Ludwika)

Więc pani mnie?...

LUDWIKA.

Mówiłam.

GERWAZY.

Więc to nie udane?

Nie figielki? i niby z niczém pozostanę?

Więc tu zadrwiono ze mnie, ze mnie, do kroć gro-
[mów!]
Jak z głupca, jak z człowieka co nie ma dwóch do-
[mów!]

I pani może myśli że ja zaraz myślę
Razem z memi domami utopić się w Wiśle?
(z zadowoleniem)

Myśli że myślę!...

(seryo)

Że mi z płaczu oczy spuchną?

Wcale nie; otóż na złość, mam wdórkę ciepłuchną,
Idę ztąd prosto do niej, kobiętka nielada,
Co za moim dowcipem naprawdę przepada,
Przepraszę ją, pocieszę i zaślubię Basię.
Aha! teraz żal pani, ale poniewczasie!
Nie głupim, zato wdówka talarami sypnie.
Kłaniam!

(do siebie)

Tom im wypalił tego i dowcipnie!

Ja tak zawsze!

(odechodzi śmiejąc się)

Scena 18.

LUDWIKA, ROCH, DOROTA, WIKTOR.

ROCH.

Ot, to się zemścił kapitalnie!

Ale wiem, że przynajmniej w łeb sobie nie palnie.

(zwracając się do Wiktora, stojącego na uboczu)

A ty... cóż? w górę głowa, gdy ci szczęście świeci,
Ośmiel się, pójdź!...

(prowadząc go ku Dorocie)

No matko, pobłogosław dzieci.

DOROTA.

Za pozwoleniem, pierwój za warunek kładę...

ROCH (z uśmiechem).

Bądź spokojna, mówiłem że dostał posadę,
Tysiąc rubli etatu.

DOROTA (cokolwiek wscelój).

Tak?

ROCH.

Toć każdy przyzna

Że na dwoje...

DOROTA.

Ha, trudno, wprowadź dziś drożyną,
Lecz kiedy się tak stało, kiedy go tak kocha...

WIKTOR (zbliżając się).

A! pani!

LUDWIKA (podobnie).

Matko!

DOROTA.

No, no, toć ja nie macocha,

Niech wam Bóg błogosławi!

(całuje w głowę Wiktora i córkę)

ROCH.

A teraz, Dośięńko,

Chyba...

(Dorota spogląda z obawą na męża, który z uśmiechem mówi dalej)

Ot, chyba jeszcze w ich zaślubin chwilę
Głowę z pomiędzy Greków i Rzymian wychylę,
I pobujam jak Cezar po farsalskim błoniu!

DOROTA (grożąc mężowi udobruchana).

No proszę, cicha woda...

ROCH (podając jej rękę).

Przepraszam cię, Doniu!

K O N I E C .

ROZMAITOŚCI.

Dawne ogłoszenia gazeciarskie.

Jako zajmujące szczegóły do charakterystyki pe-
wniej epoki, posłużyć mogą ogłoszenia z gazet w o-
wym czasie wychodzących wyjęte.

Zawierają one wiele drobnych, ale ciekawych po-
mimo to wiadomości, które zwłaszcza dla mieszkań-
ców téjże samy miejscowości z kąd wyszły przed la-
ty; mają zawsze pewien interes. Jako próbkę zamie-
szczęm tu parę doniesień tego rodzaju.

Doniesienie z Warszawy.

Z suplementu do Gazety Warszawskiej, ze środy
dnia 23 kwietnia 1788 r.

Znajdują się tu do zbycia osobki chińskie, z pię-
knego kamienia robione, niegdy z samych Chin od
misyonarzy tamecznych do dworu francuzkiego
przysłane, o których dowiedzieć się można u rozda-
jącego gazety.

J. p. Baltroska cukiernik, mieszkający naprzeciw
zamku, uwiadamia publicum, że wnuk pana Gamba-
kurty i cukiernik neapolitański, wyjechałszy do Pe-
tersburga, zostawili przy nim towar do przedania.
Pierwszy osobliwą pomadę do utrzymywania i roś-
nienia włosów i do chędożenia zębów (sic); drugi zaś
cukierki Diavoloni neapolitańskie, arcy dobre. Kto-
by więc takowych rzeczy żądał nabyć, niech się do
pomienionego cukiernika referuje.



Panu W. J. w Kamieńcu podolskim. Śpiewu „Do słowiz-
ka“, dla zbytnej jego obszerności, drukować nie będziemy.

Panu S. H. w Wilnie. Rozwiązanie pańskie zadania sza-
chowego N. 346 jest mylne; po pierwszym bowiem posunięciu
białych E1—D3, czarne pojechać mogą wieżą E4—E1, co
stanowczo zapobiega matowi w trzecim posunięciu. Zada-
nie to zresztą nie było wcale pdaoawane do nagrody.

Pani Melanii z nad Czarnęj Hańczy. Na zapytanie pani
najwymowniej odpowiadają N. 390 i następne naszego Tygo-
dnika. Drugi tom powieści „Helena“ ukonczonym zostanie
w pierwszój połowie czerwca r. b.

Panu F. B. w Mińsku prosimy o nadesłanie szczegółowego
wykazu nieodebranych numerów Tygodnika, gdyż Ekspedy-
cja gazet zapewnia, że regularnie co tydzień je wysyła.

Panu B. P. w Włocławku. Nie dlatego rebusy pańskie nie
znalazły pomieszczenia, że są zbyt łatwe, lecz z powodu że nie
według prawidła ułożone. Wyłożenie tych prawideł wyma-
gałoby ustnego porozumienia się.